KINO POLONIA GROZI KATASTROFĄ STR. 5

Zbigniew Kozak gratuluje sopocianom STR. 7

bezpłatna gazeta pomorska

riviera

Rok VI Nr 3 (60) Lipiec 2011 Nakład 10 000 egz. ISSN 1895-7080

1:0 dla mieszkańców

Sopocianie jako pierwsi w Polsce będą decydować o tym, w jaki sposób miejscy urzędnicy mają wydawać publiczne pieniądze.

Radni przyjęli rezolucję w sprawie wprowadzenia budżetu obywatelskiego. Na razie dotyczyć on będzie jednego procenta wydatków miasta, czyli około 3 mln. złotych. Decyzja Rady Miasta odbiera jednak ratuszowi dotychczasową wszechwładzę. Nic dziwnego, że taka forma bezpośredniego zarządzania budżetem Sopotu przez mieszkańców nie spodobała się prezydentowi Jackowi Karnowskiemu. Przeciwni rezolucji byli również radni Platformy Obywatelskiej i Samorządności Sopot. Za jej przyjęciem głosowali członkowie klubów Kocham Sopot i Prawa i Sprawiedliwości. Obecnie trwają prace na określeniem zasad konstruowania budżetu.

Więcej na str. 5

fot. kmz

Idea budżetu obywatelskiego, zwanego także partycypacyjnym, jest stosunkowo nowa. Po raz pierwszy zastosowano go w roku 1989 w brazylijskim mieście Porto Alegre. Bezpośredni wpływ na wydatki lokalne mają również mieszkańcy stanu Kalifornia. Sopot będzie pierwszym miastem w Polsce, w którym radni zdecydowali się na wprowadzenie podobnych rozwiązań. W ślad za kurortem chce pójść szereg innych polskich miast m.in. Białystok.

Ekolodzy boją się wieżowców

Skyline jak w Rio?

Wciąż nie wiadomo, jak w przyszłości ma wyglądać brzeg morski w Gdańsku. Ekolodzy od dawna ostrzegają władze miasta, aby nie stawiać tam wieżowców.

Już dziś linia brzegowa trójmiejskiego wybrzeża nie należy do najefektowniejszych, trudno sobie wyobrazić jak będzie wyglądała, jeśli zostanie zabudowana wieżowcami.

Urzędnicy twierdzą, że nic takiego nam nie grozi, przynajmniej na odcinku od mola w Brzeźnie do Jelitkowa. Ewentualnie wysoka zabudowa mogłaby powstać pomiędzy wylotem alei Generała Hallera do mola. I to też nic pewnego, jednak ekolodzy z Polskiego Klubu Ekologicznego na wszelki wypadek doradzają, aby budynki te nie przekraczały wysokością drzew. Na stronie internetowej Biura Rozwoju Gdańska brak jest konkretnych informacji. W nieoficjalnych rozmowach mówi się, że tereny wzdłuż pasa nadmorskiego docelowo mają pełnić funkcje rekreacyjno-sportowe. Niepokój ekologów budzi również stan finansów miasta. Sprzedaż najbardziej atrakcyjnych działek przy plaży prywatnym developerom może stanowić pokusę dla włodarzy zadłużającego się coraz bardziej Gdańska. ***(kf)***

Gdańsk. Koniec marzeń o Europejskiej Stolicy Kultury

Wrocław najlepszy

Wyrok zapadł 21 czerwca br. Tego dnia trzynastoosobowa komisja (7 osób było wyznaczonych przez instytucje Unii Europejskiej, a 6 reprezentowało Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego) obradująca w warszawskich Łazienkach ogłosiła, że Europejską Stolicą Kultury w roku 2016 zostanie Wrocław. W ten sposób skończyły się marzenia władz Gdańska wypromowania grodu nad Motławą wśród mieszkańców naszego kontynentu i ściągnięcia nad Bałtyk setek tysięcy turystów. Przepadła także nagroda im. Meliny Mercouri wynoszącej 1,5 mln euro.

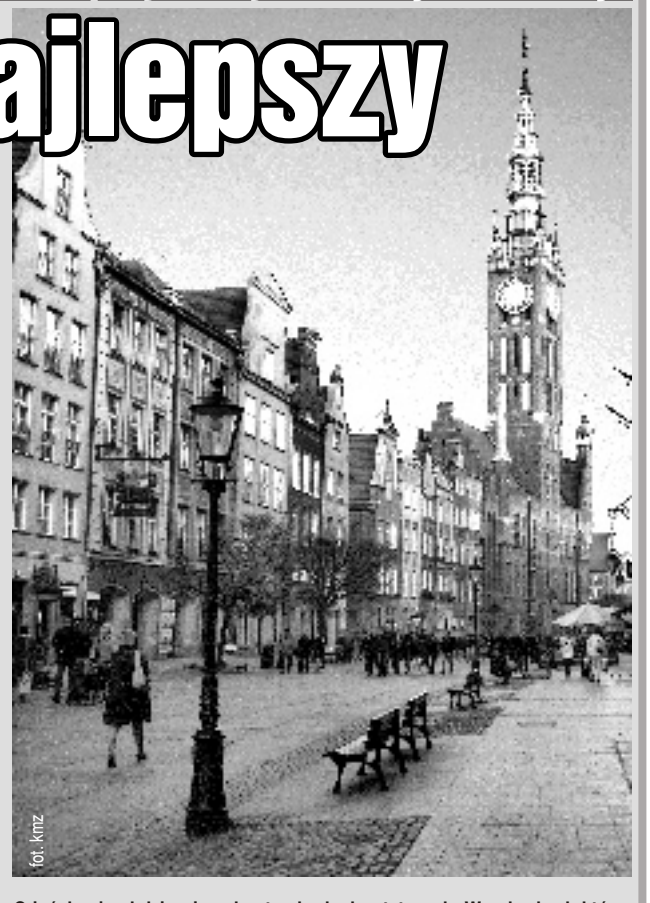

Gdańsk, chociaż bardzo się starał, uległ ostatecznie Wrocławiowi, który w roku 2016 mienić się będzie Europejską Stolicą Kultury.

Gdańsk był jednym z pięciu finalistów wyścigu do miana ESK 2016. Obok niego kandydowały: Katowice, Lublin, Warszawa i Wrocław. Werdykt jury wzbudził sporo emocji wśród pozostałych miast-finalistów. Nikt nie negował wspaniałego rozwoju kulturalnego stolicy Dolnego Śląska, jednak ministra Bogdana Zdrojewskieego oskarżano o stronniczość (przez wiele lat był prezydentem Wrocławia). Efektem emocji był list otwarty działaczy z Lublina, którzy zarzucili ministrowi, iż na tydzień przed werdyktem jury przyznał Wrocławiowi 100 milionów złotych z funduszy europejskich na Operę Wrocławską i remont Pawilonu Czterech Kopuł. Przegrani mieli też pretensję, że jury nie uzasadniło swojej decyzji. Zdaniem oponentów fakt, iż Wrocław, jak żadne inne miasto w Polsce, jest nasycony kulturą, stanowi argument przeciwko jego nominacji do miana Europejskiej Stolicy. Uważają oni, że ESK 2016 powinna stanowić bodziec rozwijający kulturę miasta-laureata, a nie nagradzać miasto już rozwinięte. Minister Zdrojewski określił list lublinian, jako „smutne nieporozumienie", natomiast przewodniczący komisji selekcyjnej Austriak Manfred Gaulhofer zapewnił, że prace jury przebiegały w sposób całkowicie czysty, bez jakichkolwiek prób nacisku.

Plany rewitalizacji Dolnego Miasta zagrożone

Tunel czy dzielnica?

Oto jest pytanie

Niektórzy nazywają je gettem, inni wylęgarnią patologii. Większość mieszkańców innych dzielnic Gdańska, jeśli nie musi, woli się tam nie zapuszczać, zwłaszcza po zmroku. Miało się to zmienić, ale czy rewitalizacja tej zapomnianej, a mimo to pięknej dzielnicy Gdańska dojdzie do skutku, nadal nie wiadomo.

Gdańskie Dolne Miasto, piękne i straszne, kiedy to się zmieni? fot. archiwum

Jak wygląda Dolne Miasto w Gdańsku wie każdy. To od czasów II wojny światowej jedna z najbardziej zaniedbanych dzielnic w mieście. Ostatnio głośno było o rewitalizacji tej części Gdańska, jednak ostatnio nad dzielnicą pojawiły się znowu ciemne chmury. Prezydent Gdańska Pawła Adamowicza powiedział, że 240 milionów przeznaczonych na inwestycje miejskie mogą zostać przesunięte na budowę tunelu pod Martwą Wisłą. Po tej wypowiedzi na Dolnym Mieście zawrzało. Działacze społeczni z dzielnicy zażądali spotkania z prezydentem. W Ratuszu uspokajają, że prowadzone są już rozmowy z Ministerstwem Rozwoju Regionalnego, mające na celu otrzymanie dodatkowych funduszy z Unii Europejskiej zarówno na tunel, jak i na inne inwestycje miejskie. No cóż, gdańskim włodarzom pozostaje życzyć owocnych rozmów.

(kf)

Inauguracja PGE Areny

Przeprowadzka Lechii

Znany już jest terminarz ligowy Ekstraklasy. Piłkarze gdańskiej Lechii pierwszy mecz sezonu 2011/2012 rozegrają u siebie. Na przełomie lipca i sierpnia gościć będą w Gdańsku Polonię Warszawa. Będzie to zarazem ich inauguracyjny występ na PGE Arena w Letnicy. Tym samym Lechiści opuszczają dotychczasowy stadion przy ulicy Traugutta we Wrzeszczu, na którym grali nieprzerwanie od roku 1945. Kolejnymi przeciwnikami gdańszczan jeszcze w sierpniu będą Cracovia i ŁKS Łódź. Natomiast 6 września kibiców piłkarskich czeka nie lada smaczek. W tym dniu na boisko PGE Areny wybiegną pierwsze reprezentacje Polski oraz trzykrotnego piłkarskiego mistrza świata, czyli Niemiec. ***(as)***

Piłkarze wybierają hotele i stadiony treningowe

Kto i gdzie zamieszka na Euro

Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej – Euro 2012 coraz bliżej. Wiemy już, że w Gdańsku będziemy mogli oglądać najlepsze drużyny naszego kontynentu, choć nie wiemy jeszcze kto z kim i kiedy zagra na stadionie PGE Arena.

Dla miasta ważniejszym od meczu, choć nie tak widowiskowym, jest problem, gdzie drużyny biorące udział w mistrzostwach zamieszkają na czas ich trwania. Na mecz drużyna przylatuje samolotem i zaraz po nim wraca do miejsca swego zakwaterowania. Wraz z nią przyjeżdżają i przeważnie wyjeżdżają kibice. Najchętniej jadą do miejsca gdzie przebywa i trenuje ich drużyna. A to przecież od ilości kibiców i długości ich pobytu zależy ile zarobią hotele, gastronomia, taksówkarze, sklepy z pamiątkami i całe miasto.

Województwo pomorskie ma szansę gościć kilka drużyn: Francuzów, Greków, Hiszpanów, Holendrów, Niemców, Szwedów i Turków. Przedstawiciele tych federacji piłkarskich odwiedzili Wybrzeże Gdańskie i wydaje się, że byli zadowoleni z tego co zobaczyli. Najbliżej podpisania stosownych umów są Niemcy, Hiszpanie i Szwedzi. Przedstawicielom Federacji Niemieckiej najbardziej podobał się pięciogwiazdkowy hotel Dwór Oliwski. Ich treningi odbywałyby się na stadionie Lechii przy ulicy Traugutta. Szwedzi z kolei mają chętkę na hotel Haffner w Sopocie i na treningi w Ośrodku Sportu i Rekreacji w Gdyni. Natomiast Hiszpanie zachwycili się kompleksem sportowym w Gniewinie w pobliżu Żarnowca. Jak na razie są to dopiero przymiarki. Kto i gdzie zamieszka dowiemy się wkrótce, do pierwszego gwizdka sędziego pozostało już tylko kilkanaście miesięcy. ***(kf)***

Prezydent Sopotu Jacek Karnowski pozywa dziennikarzy i donosi na śledczych.

Podejrzany chce być ofiarą?

Podejrzany o korupcję i okłamywanie wymiaru sprawiedliwości Jacek Karnowski pozwał dziennikarzy „Rzeczpospolitej" za to, że ujawnili fakty, które doprowadziły do postawienia mu zarzutów. Kilka dni wcześniej zarzucił manipulację dowodami prokuratorom oraz funkcjonariuszom CBA. Zażądał pół miliona złotych zadośćuczynienia.

fot. kmz

Prokuratura podejrzewa Karnowskiego go o popełnienie szeregu przestępstw o charakterze korupcyjnym i okłamywanie wymiaru sprawiedliwości, za co grozi do 10 lat więzienia.

Krzysztof M. Załuski

Od wybuchu afery sopockiej minęły dokładnie trzy lata. Śledztwo prowadzone przeciwko urzędującemu prezydentowi Sopotu wciąż trwa. Mimo ciążących na nim sześciu zarzutów prokuratorskich nadal sprawuje swoją funkcję, choć w Radzie Miasta utracił większość.

Polowanie na myśliwych

W połowie czerwca br. Prokuratura Apelacyjna w Gdańsku wystąpiła do Prokuratury Generalnej w Warszawie z wnioskiem o przedłużenie do końca września śledztwa w sprawie korupcji Karnowskiego. Prokuratorzy chcą przesłuchać dodatkowych świadków i uzupełnić opinie z zakresu księgowości i fonoskopii. Karnowski z kolei złożył doniesienie na gdańskich śledczych. W piśmie wysłanym na ręce Prokuratora Generalnego, Andrzeja Seremeta, zarzuca im „przekroczenie uprawnień względnie niedopełnienie obowiązków", co miało doprowadzić do „zmiany istotnych parametrów dowodów rzeczowych". Zdaniem Karnowskiego nagrania dostarczone przez Sławomira Julkego zostały zmanipulowane. Dokonać tego mieli gdańscy śledczy z Centralnego Biura Antykorupcyjnego lub gdańskiej Prokuratury Apelacyjnej. Zarówno CBA jak Prokuratura nie ustosunkowały się do doniesienia Karnowskiego. Zawiadomienie rozpatrywane jest obecnie przez Prokuraturę Apelacyjną w Szczecinie.

Mógł domagać się więcej

Karnowski nie pozostał dłużny również wobec dziennika, który aferę ujawnił. 11 lipca br. w trzecią rocznicę publikacji i ostatnim dniu złożył pozew przeciwko „Rzeczpospolitej". Dopomina się pół miliona złotych, choć - jak stwierdził – powinien „domagać się odszkodowania rzędu kilku milionów złotych, nie dla siebie, ale dla moich bliskich i współpracowników. Jednak, ponieważ nie stać mnie na wysoką opłatę sądową, występuję tylko o 500 tys. złotych zadośćuczynienia".

Oprócz pieniędzy od Pawła Lisickiego, redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej" i jej byłego dziennikarza, Piotra Kubiaka, Karnowski żąda pięciokrotnej publikacji stosownego oświadczenia i przeprosin na pierwszej stronie gazety. Chce również, by podobne oświadczenie zamieszczone zostało na głównej stronie portalu „Rz" i na Onecie.pl.

Paweł Lisicki komentuje pozew prezydenta Sopotu następująco: - Pan Jacek Karnowski ma do tego prawo i, jak chce, to niech z niego korzysta.

Z kolei Piotr Kubiak, współautor tekstów opisujących aferę sopocką odpowiada krótko: - Nie polemizuję z podejrzanymi o korupcję, a zwłaszcza z politykami podejrzanymi o korupcję.

Podobnie Prokuratura Apelacyjna w Gdańsku, której rzecznik, Krzysztof Trynka zaznacza jedynie: „Nie będziemy z podejrzanym dyskutować za pośrednictwem mediów".

Rozmowniejszy jest natomiast Jacek Karnowski, który na pytanie reportera PAP, dlaczego zdecydował się zaskarżyć gazetę jeszcze przed zakończeniem śledztwa, odpowiedział, że podjął taką decyzję, ponieważ jest pewien swojej niewinności.

Sześć prezydenckich grzechów

Innego zdania jest prokuratura. Na liście przestępstw, których według śledczych miał się dopuścić Jacek Karnowski, znalazły się m.in.: próba wymuszenia w marcu 2008 r. dwóch mieszkań od Sławomira Julkego, przyjęcie korzyści majątkowych o wysokości ok. 60 tys. zł od dilera samochodowego Włodzimierza G, który miał zdaniem prokuratury sprzedać Karnowskiemu trzy auta po zaniżonej cenie i za darmo je serwisować, oraz przyjęcie od miejscowego przedsiębiorcy Mariana D. korzyści majątkowej w postaci bezpłatnie wykonanych na posesji prezydenta usług budowlanych o wartości 2 tys. zł. Kolejny zarzut pod adresem Karnowskiego, dotyczy złożenia w 2007 roku, przed przetargiem na samochody dla magistratu, fałszywego oświadczenia, jakoby z firmą prowadzoną przez Włodzimierza G. nie łączyły go stosunki, które mogłyby budzić wątpliwości, co do jego bezstronności wobec tej firmy.

Prócz Karnowskiego zarzuty prokuratorskie usłyszeli również: diler samochodowy Włodzimierz G., przedsiębiorca budowlany Marian D. oraz dwóch urzędników sopockiego magistratu: sekretarz Miasta Sopotu Wojciech Z. i kierowca Karnowskiego Jarosław S., którzy mieli ułatwić dilerowi wygranie przetargu na zakup samochodów dla Urzędu Miejskiego. Jeśli prokuraturze uda się do swoich racji przekonać sąd, prezydentowi Sopotu grozić będzie do10 lat więzienia.

Komentarz redakcyjny

Banda złego na jednego

Po ujawnieniu nagrania, w którym Jacek Karnowski domagał się mieszkania „na mamę", manipulantem miał być (zdaniem prezydenta Sopotu) Sławomir Julke. Gdy donosy składane na przedsiębiorcę nie poskutkowały (bo żadna prokuratura nie potwierdziła wersji Karnowskiego), do grona manipulantów dołączyli prokuratorzy z Gdańskiej Apelacji i funkcjonariusze CBA. Teraz okazuje się, że nieszczęściu Karnowskiego (jak wynika z pozwu, który postanowił on po trzech latach złożyć do sądu) winni są dziennikarze, którzy ujawnili kompromitujące go taśmy. Nie za dużo tych manipulantów, jak na jednego niewinnego…?

Światowe znakomitości ekonomii przyjadą do Sopotu

Europejskie Forum Nowych Idei

Konferencję pod tym tytułem organizuje prezydent PKPP Lewiatan – Henryka Bochniarz. Odbędzie się ona w Sopocie, w dniach 28 – 30 września br. i może stanowić gratkę dla miasta. Dla władz będzie to prestiż z okazji goszczenia wielu światowych znakomitości z dziedziny ekonomii, dla właścicieli hoteli i zakładów gastronomicznych jakby przedłużenie sezonu letniego. Do Sopotu przybędzie około tysiąca osób z pełnymi portfelami, które będą musiały gdzieś spać, coś jeść, a może także zechcą się zabawić po wyczerpujących sesjach konferencyjnych. Sesji tych będzie pięć. Ich tematy to m.in.: „Kapitalizm po kryzysie" i „Nowe wymiary konkurencyjności". Na konferencjo odbędzie się też 14 posiedzeń panelowych: „Demokracja w mediach, media w demokracji", „Przywództwo w nowej globalnej rzeczywistości", czy też „Koniec świata mężczyzn". Patronami konferencji są prezydent Bronisław Komorowski i przewodniczący Parlamentu Europejskiego Jerzy Buzek. *(kf)*

Plac Przyjaciół Sopotu oddany

Przestrzeń przyjaźni, przestrzeń niezgody

Przebudowa placu Przyjaciół Sopotu dobiegła końca. Jest to jedna z najbardziej kontrowersyjnych inwestycji, jaka powstała w kurorcie w ciągu ostatnich lat. Od pół roku trwa dyskusja, co ładniejsze: obecny plac, wyłożony płytami z importowanego kamienia i obsadzony młodymi platanami, czy też tamten zlikwidowany w ubiegłym roku, z rozłożystymi lipami i świerkami, fontanną Jasia Rybaka i budkami, w których za parę złotych można było zjeść kebab, pizzę, lub smażoną rybę.

Andrzej Stanisławski

Dawny plac był na pewno prześny, peerelowski, ale przyjazny przeciętnemu wczasowiczowi. Ten nowy można porównać z placem Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Urzędnicy z sopockiego Ratusza dumni są z dzieła spinającego jakby klamrą wylot ulicy Monte Cassino i odbudowany Dom Zdrojowy, natomiast grupa sopockich architektów dowodzi, że projekt jest nadęty, cukierkowaty, a nadbałtycki kurort nigdy nie stanie się tym, czym dla wybrzeży Morza Śródziemnego jest Monte Carlo.

„Za mało zieleni" – mówią architekci. – „Nie należało likwidować trawników przed pawilonem Alga".

Z Ratusza odpowiadają, że „trawniki będą, tyle, że nie stałe, a ruchome" (w mobilnych skrzyniach).

Architektów argumenty Ratusza nie przekonały i swój protest przekazali Radzie Miasta, zaś jej przewodniczący Wojciech Fułek wystąpił do Urzędu Wojewódzkiego z wnioskiem o zbadanie, czy realizowany projekt placu jest zgodny z planem jego zagospodarowania. Po zbadaniu sprawy Urząd Wojewódzki orzekł, że plan zagospodarowania przestrzennego był nieprecyzyjny, a zatem pozwala na dowolne manipulowanie kształtem i formą zieleni.

Taki wyrok z pewnością nikogo w pełni nie zadowoli. Nowy plac Przyjaciół Sopotu będzie miał swoich zwolenników i przeciwników. Najwięcej żalu może budzić likwidacja fontanny Jasia Rybaka. Była sympatyczna i wcale nie brzydka.

Na jej miejsce ma powstać nowa multimedialna, podświetlona w nocy fontanna zaprojektowana przez zagranicznych architektów. Zapewne po jakimś czasie oczy sopocian przywykną do tworzonego aktualnie wyglądu tej części miasta i dyskusje na ten temat zgasną. Pozostanie tylko pytanie – czy za tak ogromne pieniądze, nie można było zrobić tego lepiej, nie niszcząc przy okazji wszystkiego, co istniało?

fot. kmz

Ten plac żyje już tylko we wspomnieniach, do nowego długo jeszcze trzeba się będzie przyzwyczajać… Plac Przyjaciół Sopotu we wrześniu 2008 roku.

Porozumienie pomiędzy magistratem a Komendą Miejską

W weekendy ma być bezpieczniej

Prezydent Sopotu Jacek Karnowski, oraz zastępca Komendanta Miejskiego Policji, podinspektor Waldemar Sopek uzgodnili, że w weekendy na ulice kurortu wyjdzie więcej patroli policji i Straży Miejskiej. Decyzja obowiązuje już od 25 czerwca. Policjanci i strażnicy mają sprawdzać godziny, o których winny być zamykane kluby i inne placówki gastronomiczno-rozrywkowe. Będą pilnowali, aby w sklepach i restauracjach nie sprzedawano alkoholu osobom nietrzeźwym i młodzieży poniżej 18 roku życia. Będą też interweniować w przypadku awantur, zakłócania ciszy nocnej, oraz zaśmiecania ulic przez przechodniów. *(kf)*

Dworzec PKP pomalowany

Lifting sopockiej „wizytówki”

fot. kmz

Brzydki jak dawniej, ale przynajmniej kolorowy…

Dworzec kolejowy w Sopocie do urodziwych nie należy. Firma Dulux postanowiła to zmienić. Za zgodą właściciela, czyli PKP, zaangażowała artystów, którzy pomalowali brudne i odrapane ściany budynku na kolorowo. Dworzec wygląda teraz weselej, ale chyba nie bardziej reprezentacyjnie. Na szczęście jego żywot dobiega już końca. Do 10 sierpnia br. dwie firmy zainteresowane w przebudowie tej części miasta mają złożyć swoje ostateczne oferty.

W roku 2012 rozpocznie się budowa. Powstanie nowy dworzec PKP z tunelem prowadzącym do Alei Niepodległości, nowy hotel, centrum handlowe, podziemny parking. Inwestycja będzie prowadzona na wzór Centrum Haffnera – jako publiczno-prywatne przedsięwzięcie.

(kf)

Mistrz kubizmu tylko w Państwowej Galerii Sztuki

„Metamorfozy” Georgesa Braque’a w Sopocie

Ekspozycja dzieł Georgesa Braque’a w sopockiej PGS to bezwątpienia jedno z najważniejszych wydarzeń artystycznych tego roku w naszym kraju. 259 obiektów, jednego z największych twórców francuskiego malarstwa i rzeźby, można oglądać tylko w Sopocie do połowy września. Do PGS trafiło m.in. 12 oryginalnych gwaszy, 20 litografii, 28 obiektów ceramicznych, 24 rzeźby, 10 dywanów oraz biżuteria – wszystkie pochodzą z paryskiej kolekcji Armanda Israela. Dzieła Braque’a do Sopotu przyjechały dzięki staraniom dyrektora Państwowej Galerii Sztuki, Zbigniewa Buskiego.

Wystawa „Metamorfozy” Georgeasa Braque’a otwarta została 17 czerwca br. Składa się na nią 259 artystycznych obiektów w tym dwa wyjątkowo cenne dzieła. Pierwszym jest obraz „Le parc Monceau” z 1900 roku, dzieło zupełnie różne od tego, co później stanowiło o stylu artysty. Drugie to „Błękitne Ptaki” z 1963 roku - artystyczny hołd złożony Pablowi Picasso. W sopockiej galerii można zobaczyć również rzeźby artysty: „Delos”, „Helios”, „Hecate” oraz unikatową kubistyczną instalację „Hermes”, stanowiącą syntezę wcześniejszych prac Braque’a. Ogromne wrażenie robi także kolekcja biżuterii, która uważana jest za jedną z najpiękniejszych na świecie.

George Braque urodził się 13 maja 1882 r. w Argenteuil-sur-Seine, zmarł 31 sierpnia 1963 r. w Paryżu. Miał zostać malarzem pokojowym. Został jednym z najwybitniejszych artystów ubiegłego wieku. Był wszechstronnie utalentowany, prócz malarstwa na płótnie, tworzył witraże, rzeźbił, projektował biżuterię, oraz scenografie teatralne. Wraz z Pablem Picassem opracował teorię kubizmu. Kierunek ten, wylansowany z początkiem XX wieku, zrewolucjonizował malarstwo, stanowiąc przejście od tradycyjnego obrazu do abstrakcji. Tuż przed śmiercią, Braque, jako pierwszy w historii sztuki malarz, doczekał się wystawy swych dzieł w paryskim Luwrze. *(kmz)*

Sopocka wystawa potrwa do 18 września. Galeria jest czynna codziennie od godziny 11 do 21. Ceny biletów: 20 zł (normalny) i 13 zł (ulgowy).

Jan Kozłowski i Jacek Karnowski pod lupą CBA

Służby kontra urzędnicy

Centralne Biuro Antykorupcyjne znowu namierza Jacka Karnowskiego. Jego funkcjonariusze zasygnalizowali prokuraturze możliwość popełnienia przestępstwa w związku ze zwrotem mienia zabranego Kościołowi za czasów Polski Ludowej. Prezydent Sopotu odpiera zarzuty, twierdząc, że to kolejna nagonka CBA na jego osobę. Według CBA w sprawę zamieszany jest również europoseł Jan Kozłowski.

fot. materiały prasowe

Śledczy CBA podejrzewają, że w aferę obok Jacka Karnowskiego zamieszany jest również eurodeputowany Jan Kozłowski.

W roku 1991 Komisja Majątkowa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji przyjęła wniosek Parafii Wniebowstąpienia NMP w Redzie w sprawie odszkodowania za 55,5 hektarów ziemi, skonfiskowanej parafii przez władze PRL w roku 1951. W lutym 1997 roku Parafia, Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa, oraz Urząd Miasta Sopotu podpisały odpowiednią ugodę. Na jej mocy Parafia otrzymała jako własność zamienną 52,6 hektarów ziemi w Kokoszkach i tę ziemię odstąpiła natychmiast Miastu Sopot w zamian za „Willę Krystyna” przy ulicy Haffnera 88, wraz z działką o powierzchni 3200 metrów kwadratowych, oraz 1,5 mln dopłaty z kasy Miasta.

Obecnie Centralne Biuro Antykorupcyjne zasygnalizowało prokuraturze możliwość popełnienia przestępstwa przez urzędników, którzy pełnili wówczas funkcje prezydenta i wiceprezydenta Sopotu. CBA wyszło z założenia, że taka trójstronna transakcja pomiędzy trzema partnerami jest niezgodna z trybem działania Komisji Majątkowej zajmującej się zwrotem mienia zabranego Kościołowi w czasach istnienia PRL. Ówczesnym prezydentem Sopotu był obecny europoseł Jan Kozłowski, zaś wiceprezydentem aktualny prezydent kurortu Jacek Karnowski. Jacek Karnowski stanowczo odrzuca zarzuty służb. Ziemię należącą przed rokiem 1951 do parafii w Redzie rzeczoznawca wycenił w roku 1997 na 3 miliony złotych. W tym czasie ziemia w Kokoszkach była warta 3,2 milionów złotych. Zaś działka przy ulicy Haffnera w Sopocie 1,462 miliona, co po dopłacie 1,5 mln daje kwotę 2,962 milionów. Tak więc wszystkie trzy nieruchomości przedstawiały przybliżoną wartość. W jakim więc celu przeprowadzano tak skomplikowaną operację, włączając w to Kokoszki? Jak wyjaśnił Jacek Karnowski, ziemia AWRSP w Kokoszkach była samorządowym władzom Sopotu potrzebna dla przejęcia Hipodromu, który wówczas należał również do AWRSP. Otrzymując od parafii w Redzie grunty w Kokoszkach sopocki Ratusz mógł je wymienić z Agencją na 60 % akcji Hipodromu. Akcję CBA w tej sprawie prezydent Sopotu ocenia jako kolejne, bezzasadne czepianie się jego osoby. *(bs)*

Ulica i mural na trzydziestą rocznicę śmierci artysty

Sopot uhonorował Krzysztofa Klenczona

Od 28 kwietnia br. jedna z sopockich ulic nosi imię Krzysztofa Klenczona. Decyzję o jego nadaniu z okazji 30. rocznicy śmierci muzyka jednogłośnie podjęli sopoccy radni. Tego samego dnia odsłonięte zostało także malowidło ścienne przedstawiające postać kompozytora. W uroczystościach wzięli udział przyjaciele artysty, jego najbliższa rodzina oraz przedstawiciele lokalnych władz i biznesu. Podczas odsłaniania muralu doszło do potyczki pomiędzy fanami rock’n’roll’a, a Zmotoryzowanym Odziałem Milicji Obywatelskiej.

Krzysztof M. Załuski

Dokładnie 7 kwietnia br. minęło 30 lat od tragicznej śmierci jednego z najwybitniejszych polskich kompozytorów i muzyków rockowych, Krzysztofa Klenczona. Autor takich przebojów jak „10 w skali Beauforta”, „Historia jednej znajomości”, „Kwiaty we włosach”, „Matura”, czy „Wróćmy na jeziora” był bardzo blisko związany z Sopotem i Gdańskiem. Tutaj studiował na Politechnice i Studium Wychowania Fizycznego, tu również grał z grupami Niebiesko-Czarni, Pięciolinie i Czerwone Gitary. W 1970 roku założył własny zespół o nazwie Trzy Korony, a dwa lata później wyjechał do USA, gdzie w 1981 roku zmarł w wyniku ran odniesionych w wypadku samochodowym.

Inicjatywa upamiętnienia twórczości Krzysztofa Klenczona wyszła z kręgu Fundacji Sopockie Korzenie. Pomysł spodobał się sopockim radnym, którzy jednogłośnie postanowili nadać imię artysty uliczce graniczącej z dawną siedzibą tzw. III Non Stopu (obecnie mieści się tutaj Targowisko Miejskie). Na uroczystość przybyła najbliższa rodzina oraz przyjaciele muzyka, w tym członkowie grup, z którymi występował. Zjawili się też tłumnie mieszkańcy kurortu i miłośnicy Czerwonych Gitar.

Tego samego dnia, na budynku przy ulicy Drzymały, w którym od 1963 r. działał tzw. II Non Stop, odsłonięty został również fragment muralu, przedstawiającego postać Klenczona. Jego autorzy, Tuse i Myzeria, zapowiedzieli, że malowidło zostanie ukończone do lipca br., to znaczy na 50. rocznicę powstania klubu Non-Stop. Znajdą się na nim m.in. Czesław Niemen, Karin Stanek, Kasia Sobczyk i Tadeusz Nalepa.

Podczas odsłaniania muralu doszło do niespodziewanego incydentu. Na plac wtargnął oddział ZOMO, którego funkcjonariusze przeprowadzili regularną łapankę bikiniarzy, długowłosych fanów rock’n’roll’a i innych niebieskich ptaszków. Na szczęście nie użyto środków przymusu bezpośredniego i gazu. Oddział dowodzony był bowiem przez… Krzysztofa Skibę, komendanta-przebierańca.

Serię sopockich imprez poświęconych Krzysztofowi Klenczonowi zamknęła przedpremierowa projekcja filmu dokumentalnego „10 w skali Beauforta” w reżyserii Heleny Giersz. Pokaz odbył się w Krzywym Domku. W tym samym miejscu wystąpił także wieloletni współpracownik Klenczona, Bernard Dornowski z zespołem. Zaprezentowana została też nowa płyta, zawierająca kompilację największych przebojów lidera Czerwonych Gitar.

fot. kmz

Komendant MO, Krzysztof Skiba zorganizował łapankę bikiniarzy, długowłosych fanów rock’n’roll’a i innych niebieskich ptaków, po pouczeniu uczestnicy zbiegowiska udali się na projekcję filmu dokumentalnego o Krzysztofie Klenczonie.

Zdaniem ekspertów może dojść do zawalenia się budynków

Sąsiedzi boją się przebudowy KINA POLONIA

Dawne kino Polonia na razie nie będzie przebudowane. Dotarliśmy do ekspertyz, z których wynika, że planowana inwestycja może doprowadzić do zawalenia się sąsiednich budynków.

Bartek Sasper

Najprawdopodobniej z tego powodu warszawska spółka Capital Park zdecydowała się wycofać z inwestycji i zbyła udziały w spółce, do której należało kino Polonia. Od ponad dwóch lat firma starała się o uzyskanie pozwolenia na budowę jednak skuteczne odwołania sąsiadów wstrzymały rozpoczęcie prac. Właściciele kina do dziś nie mogą nawet wyburzyć obiektu. Wszystko to wskutek ekspertyzy budowlanej, z której wynika, że planowana inwestycja zagraża bezpieczeństwu sąsiednich budynków do tego stopnia, że mogą się zawalić. Sprawa została nagłośniona przed kilkoma miesiącami, gdy Wojewoda Pomorski uchylił decyzję sopockich urzędników, którzy mimo iż posiadali komplet dokumentów, w tym informację o możliwym zagrożeniu, jakie niesie ze sobą ta inwestycja, wydali właścicielowi kina pozwolenie na budowę. Okazało się wówczas, że na etapie projektu doszło do zamiany ekspertyz. Usunięto tą, która wskazywała na zagrożenia i zastąpiono ją inną – pomijającą tę kwestię.

Przedstawiciele Capital Park nie chcą oficjalnie ujawniać, jakie były powody pozbycia się dawnego kina.

- Grupa Capital Park, reprezentująca międzynarodowy fundusz inwestycyjny Patron Capital Partners, sprzedała spółkę celową Capital Park Sopot, do której należy nieruchomość dawnego kina Polonia przy ul. Boh. Monte Cassino 55/57 - informuje jedynie Joanna Cybulska z biura prasowego Capital Park. Co ciekawe, firma nie chce też zdradzić, kto jest nowym właścicielem obiektu. - Nie jesteśmy upoważnieni do informowania kto jest nabywcą nieruchomości bez jego zgody, a obecnie uzyskanie takiej akceptacji jest niemożliwe - tłumaczy Cybulska.

Jak wynika z medialnych wypowiedzi pracowników Wojewódzkiego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego obawy sąsiadów kina nie są bezpodstawne. Podczas budowy tunelu pod Monciakiem popękał i osiadł budynek Szpitala Reumatologicznego. Konieczny był jego remont generalny. Podobnie wyglądała sytuacja w trakcie budowy Centrum Haffnera.

Popękały budynki, które nie znajdowały się nawet w bezpośrednim sąsiedztwie tej inwestycji. Szczeliny pojawiły się m.in. budynkach przy Królowej Jadwigi i Powstania Warszawskiego.

fot. kmz

Kino Polonia od kilku lat stoi puste, teraz okazało się, że taki stan może jeszcze trochę potrwać, bo jego przebudowa grozi katastrofą budowlaną sąsiednich domów.

Sopoccy radni przyjęli rezolucję w sprawie wprowadzenia budżetu obywatelskiego. Na razie dotyczyć on będzie jednego procenta wydatków miasta, czyli około 3 mln. złotych.

1:0 dla mieszkańców

Od przyszłego roku sopocianie sami będą decydować o tym, na co wydać pieniądze z miejskiego budżetu. Gdy radni przegłosowali uchwałę zezwalającą na takie rozwiązanie, prezydent Karnowski opuścił salę obrad trzaskając drzwiami.

Krzysztof M. Załuski

Z pomysłem umożliwienia sopocianom bezpośredniego decydowania o tym, na co mają być przeznaczane pieniądze pochodzące z lokalnych podatków wystąpiła Sopocka Inicjatywa Rozwojowa. Jej działacze zaproponowali, aby równolegle z pracami nad konstruowaniem miejskiego budżetu odbywały się konsultacje z mieszkańcami. W ich trakcie podejmowane miałyby być decyzje, na jaki cel przeznaczyć kwotę równą jednej setnej budżetu miasta. Oznacza to, że dotyczyłyby jedynie drobnych inwestycji, ale – co niezwykle istotne - byłyby wiążące dla urzędników ratusza.

Za i przeciw

Taka forma zarządzania pieniędzmi miejskimi nie spodobała się prezydentowi Karnowskiemu. Jego zdaniem budżet miasta powinien być dyskutowany w całości, a nie ograniczać się do 1 procenta. Zaproponował, aby radni spotykali się z mieszkańcami, a ci zgłaszaliby im wnioski odnośnie konkretnych inwestycji. Po skatalogowaniu wszystkich pomysłów zostałyby one w formie ankiety rozesłane do sopocian. Inwestycje, które zdobyłyby najwięcej głosów byłyby wprowadzone do projektu budżetu. Jak podaje na swojej stronie internetowej SIR, Jacek Karnowski zaznaczył jednak na sesji Rady Miasta, że „jeżeli nie będzie się zgadzał z opinią mieszkańców, to nie zamierza jej respektować". Jego zastępca, Bartosz Piotrusiewicz dorzucił jeszcze, że pomysł wprowadzenia budżetu obywatelskiego jest „niepoważny".

Większość miejskich radnych skrytykowała wypowiedzi obydwu urzędników. - Propozycje pana prezydenta tak naprawdę sprowadzają się do utrzymania obecnego stanu rzeczy – powiedział nam przewodniczący Rady Miasta, Wojciech Fułek. - Gdyby radni je przyjęli, nadal o wszystkim, co dzieje się w mieście, decydowaliby urzędnicy, a nie obywatele. A przecież w tworzeniu budżetu obywatelskiego chodzi o coś dokładnie odwrotnego.

Rada zdecydowała

Ostatecznie 6 maja br. Rada Miasta Sopotu przyjęła rezolucję w sprawie wprowadzenia budżetu obywatelskiego. Za jej przyjęciem głosowało dziesięciu radnych, pięciu było przeciw, czterech wstrzymało się od głosu, dwóch było nieobecnych. Zdaniem szefa SIR, Marcina Gerwina, było to przełomowe głosowanie, które otworzyło nowy rozdział w historii polskiej demokracji. Mimo to pomysłodawcy zmian zdają sobie sprawę z ogromu trudności, które przed nimi stoją. Obecnie w komisji ds. budżetu obywatelskiego, której przewodniczy Grażyna Czajkowska, trwają prace nad szczegółami i harmonogramem wprowadzania budżetu.

Omawiane są m.in. kwestie dotyczące tego, jak i kiedy mają się odbywać spotkania mieszkańców, jak ma zostać przeprowadzona kampania edukacyjna, i wreszcie jak zorganizować samo głosowanie końcowe. Najbliższe spotkanie komisji zostało zaplanowane na 27 lipca.

fot. kmz

Przystań jachtowa na głowicy mola jest najmłodszą i trzeba przyznać bardzo udaną sopocką inwestycją. Kilkaset metrów dalej, za kilkanaście milionów złotych zbudowano plac, który jest ewidentnym niewypałem architektonicznym. Być może w przyszłości realizacji tego rodzaju wpadek zapobiegną prawdziwe obywatelskie konsultacje.

Już 22 lata polscy obywatele prowadzą batalię o zwrot zagrabionego przez komunistów mienia. Walki tej nie widać końca.

BEZPRAWIE w majestacie prawa

Kiedy 18 brumaire'a (9 listopada 1799 roku) Napoleon Bonaparte przejął władzę we Francji, jedną z pierwszych jego decyzji było wystosowanie apelu do przebywających poza granicami kraju uciekinierów przed terrorem o powrót do ojczyzny. Wszystkim emigrantom, a było ich około 145 tysięcy, zagwarantował zwrot ich posiadłości skonfiskowanych wcześniej przez rewolucyjne rządy. W ten sposób cesarz dążył do wygaszenia konfliktów i naprawienia krzywd. W kontekście odezwy Napoleona sprzed dwóch wieków trudno nie doszukać się analogii z tym co uczyniono, a raczej nie uczyniono w Polsce, w ciągu ostatnich 20 lat. Po roku 1989 politycy związani z „Solidarnością" nie wykonali najmniejszego gestu pod adresem emigracji z czasów II wojny światowej. Ostatni urzędujący w Londynie prezydent II RP przekazał do kraju insygnia władzy, ale nikt nie zaproponował mu udziału w tej władzy. Ani jemu, ani nikomu z Rządu RP na Uchodźctwie. Nikt nie wystosował do emigracji apelu w stylu Bonapartego, nikt nie przyobiecał zwrotu pozostawionego w kraju majątku.

Stanisław Załuski

Nie wiem ilu ziemian, przemysłowców, właścicieli kamienic, aptek, czy tzw. „kułaków" znalazło azyl na Zachodzie po „uprawomocnieniu" się układów z Teheranu, Jałty i Poczdamu. Przypuszczam, że było ich więcej niż rojalistów opuszczających ogarnięty rewolucją Paryż. Na pewno byli wśród nich ludzie wykształceni, dobrze znający arkana gospodarki wolnorynkowej; dla wychodzącej z cienia PRL III Rzeczpospolitej mogli stać się bezcennym skarbem, gdyby rząd polski potrafił powtórzyć gest napoleoński.

Opuszczanie poprzeczki

Od upadku PRL mijają 22 lat. Także prawie 22 temu rozpoczęły się starania obywateli polskich, zarówno tych zamieszkałych w kraju jak zagranicą, o odzyskanie ojcowizny - słowo „ojcowizna" umieszczam w cudzysłowie. My, pokolenie zrodzone przed drugą wojną światową, nie mamy już szansy odzyskania tego, co zrabowano naszym ojcom. Najazd Niemiec hitlerowskich i sowieckiej Rosji na Polskę miał miejsce 72 lat temu. Manifest PKWN, gwałcący wszelkie normy praworządności i ludzi majętnych zamieniający w nędzarzy, został ogłoszony 67 lat temu. Dziś ludzie pamiętający z autopsji dwór polski przekroczyli osiemdziesiąty rok życia. Wkrótce nie będzie już ich wśród żyjących.

Byłoby niesprawiedliwe twierdzenie, że w kwestii reprywatyzacji nic się przez ten czas nie działo. Kwestia ta była rozpatrywana przez wszystkie rządy, nawet w kadencjach, kiedy większość sejmową zdobywali postkomuniści. Z tym, że każda kolejna ekipa obniżała wysokość odszkodowań.

Za czasów Jana Olszewskiego i Hanny Suchockiej mowa była o pełnym zwrocie majątków wszędzie tam gdzie było to możliwe, oraz stuprocentowych rekompensatach za ziemię rozparcelowaną pomiędzy chłopów. Ustawa zaproponowana przez rząd Jerzego Buska i przyjęta głosami posłów „Solidarności" i Unii Wolności, a następnie zawetowana przez prezydenta Kwaśniewskiego, zakładała 50-procentowe odszkodowania. Za rządów PiS (Kazimierz Marcinkiewicz, a następnie Jarosław Kaczyński) była mowa już tylko o 20 %. Dziś rząd premiera Donalda Tuska po trzech latach wahań ogłosił, że ze względu na kryzys ekonomiczny nie będzie się zajmował tym problemem. Gromadzony od czasów Hanny Suchockiej fundusz reprywatyzacyjny (5 % kwot uzyskanych ze sprzedaży majątku państwowego) rząd „pożyczył" sobie na zatkanie dziury budżetowej.

Kłamstwa i niespełnione obietnice

Powiedzmy otwarcie: od 22 lat dawni właściciele są permanentnie mamieni i oszukiwani. Oszukują parlamentarzyści, premierzy, ministrowie. Przed kolejnymi wyborami przedstawiciele każdej partii obiecują, że gdy tylko zasiądą w ławach poselskich i gabinetach Urzędu Rady Ministrów, natychmiast doprowadzą do uchwalenia sprawiedliwej ustawy reprywatyzacyjnej. I na tym się kończy. W najlepszym przypadku gotową ustawę wetuje wywodzący się z establishmentu peerelowskiego prezydent III RP. Powoływanie się na kryzys, jaki dotknął świat, w tym także Polskę, wydaje się trudny do obalenia. Może rzeczywiście nie stać nas na odszkodowania, przynajmniej w wysokości satysfakcjonującej poszkodowanych?

Czy rzeczywiście nie stać? Ano, rozejrzyjmy się. Tylko w gestii Agencji Rolnej Skarbu Państwa znajduje się ponad 1,5 mln. hektarów ziemi. Starczyłoby jej na zadośćuczynienie roszczeń i tych zgłaszanych z kraju i tych z emigracji. Ale – jak rozumują rządzący, jakże dalecy w tym rozumowaniu od mądrości cesarza Francuzów – po co mamy wyrównywać ludziom stare krzywdy, skoro ziemię tę możemy zagarnąć dla siebie. W sposób może niezbyt uczciwy, ale zaklepany odpowiednimi ustawami. Osobiście nie wierzę, aby jakakolwiek partia w Polsce myślała poważnie o reprywatyzacji. Bolszewicka mentalność pokutuje od lewicy po prawicę. Sprawa będzie odwlekana z roku na rok, z kadencji sejmowej na kadencję, tak długo, aż wymrze pokolenie dzieci dawnych właścicieli, zaś ich potomkom nie będzie się chciało walczyć z wiatrakami.

Bolszewicka mentalność elity

A jednak niektórzy walczą i wygrywają. Otrzymują wielomilionowe odszkodowania. Pod jednym wszakże warunkiem. Tym warunkiem jest niezgodność konfiskaty z prawem PRL. Tak więc sądy przyznają potomkom właścicieli placów, położonych przed wojną gdzieś na obrzeżu miasta, a obecnie stanowiących centrum dzielnicy, równowartość ich aktualnej wartości. Dzieje się tak dlatego, iż konfiskując owe place władze PRL złamały ustanowione przez siebie prawa. Natomiast roszczenia właścicieli gruntów rolnych przekraczających 50 hektarów (w województwach zachodnich 100 hektarów) są odrzucane, ponieważ ziemię tę zabrano na mocy dekretu o reformie rolnej z 12 września 1944 roku, uchwalonego na rozkaz Józefa Stalina przez podległy mu tzw. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. A oczywistej nielegalności tego dekretu i nielegalności samego PKWN, stanowiącego w gruncie rzeczy obcą agenturę w podbitym przez ZSRR kraju, nikt nie chce uznać. Jest to święta krowa, przed którą klękają nasi parlamentarzyści, sędziowie Sądu Najwyższego i członkowie Trybunału Konstytucyjnego. Dlaczego rządzący tak desperacko trzymają się litery prawa uchwalonego nielegalnie, przez nikogo (prócz Stalina) nie uznawaną władzę? Jedynym chyba wytłumaczeniem jest ich bolszewicka mentalność.

Kij ma dwa końce

Stojąc na gruncie ważności peerelowskich dekretów wywłaszczeniowych partie rządzące, w tym wypadku PO i PSL podważają prawne podwaliny III Rzeczpospolitej. W tej chwili w Polsce są już dziesiątki czy nawet setki majątków ziemskich o powierzchni ponad 50 hektarów, stanowiących przeważnie własność dawnej nomenklatury pezetpeerowskiej. Ciekawe jak czuliby się ci nowobogaccy, gdyby za 10 lub 20 lat jakaś kolejna władza przypomniała sobie o dekrecie PKWN i skonfiskowała im te majątki? Któż może zaręczyć, że współcześni wielcy przedsiębiorcy nie podzielą losu przedwojennych fabrykantów? Wystarczyłby dekret o konfiskacie zakładów pracy zatrudniających powyżej 50 robotników, a powód zawsze się znajdzie…

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że co bardziej przewidujący biznesmeni wyprowadzają swój majątek zagranicę. Czemu w zasadzie niepodobna się nie dziwić, bo czyż można mieć zaufanie do władzy podpierającej się stalinowskimi „ukazami"? Ani Donald Tusk, ani Waldemar Pawlak nie zdają sobie chyba sprawy jak wielką szkodę mentalną wyrządzają swoją postawą nie tylko potomkom byłych właścicieli, ale i Polsce, jako krajowi chcącemu równać do najlepszych w Europie.

Ogromna większość tych dawnych posiadaczy, świadomych trudności ekonomicznych kraju, zadowoliłaby się częściowym odszkodowaniem (np. 50% wartości, przy rozłożeniu wypłat na 10 lat, jak w przypadku ustawy uchwalonej za rządów Jerzego Buska). Jednak pod jednym warunkiem: uznania konfiskat dokonanych w latach czterdziestych ubiegłego wieku za bezprawie, za zwykły rabunek.

Czy Donald Tusk jest zdolny do wyartykułowania takiego stwierdzenia? Czy zdolny jest do tego polski Parlament? Niestety, mam co do tego poważne wątpliwości.

Autor jest Prezesem Honorowym Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego, pisarzem i publicystą.

fot. kmz

Ruiny zabytkowych dworów szlacheckich, młynów, manufaktur i gorzelni nie są niczym niezwykłym w wiejskim krajobrazie III RP. Jeśli rząd nadal będzie uchylał się przed przyjęciem ustawy reprywatyzacyjnej, za parę lat nie pozostaną po nich nawet cegły.

Opinia czytelnika.

Kurort na miarę XXI wieku, czy wiocha lanserów?

Mieszane uczucia

Krystian Zakrzewski

Ktoś, kto nie był w Sopocie przez ostatnie dwadzieścia lat, z pewnością nie poznałby miasta zwanego niegdyś „Perłą Bałtyku". Tym większe kłopoty z rozpoznaniem dolnej części dzisiejszej ulicy Bohaterów Monte Cassino i okolic mola mieliby przedwojenni kuracjusze (gdyby oczywiście mogli powstać z grobów). Sam zastanawiam się często, czy współczesny Sopot, (porównując go choćby z malowniczymi kurortami Prowansji lub Ligurii), to nowoczesne uzdrowisko, czy raczej kiczowata imprezowania? Miasto artystów, czy wiocha podtatusiałych lanserów? I nie potrafię znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. W końcu to, co podoba się jednym, może wzbudzić wstręt drugich. I odwrotnie…

Dzisiejszy Sopot i Sopot sprzed osiemdziesięciu, czy nawet dwudziestu lat, to na pewno nie to samo miasto. Na pytanie, czy to, co zbudowano w ciągu ostatniej dekady, jest ładniejsze, funkcjonalniejsze i bardziej przyjazne, zarówno mieszkańcom jak letnikom, też nie sposób jednoznacznie odpowiedzieć. Urzędnicy sopockiego ratusza, z pewnością odpowiedzą, że tak. Młodzi sopoccy architekci mają diametralnie inne zdanie. Uważają, że bombastyczna bryła Centrum Haffnera bezpowrotnie odebrała „Perle Bałtyku" nie tylko jej dawny blask, lecz także charakter kameralnego uzdrowiska. Wyznawcy postępu szczycą się betonowo-metalową nowoczesnością, ich przeciwnicy krytykują monumentalne inwestycje, nazywając je pustynią bezguścia. Jako najnowszy przykład podają pozbawioną zieleni przestrzeń, oddanego właśnie do użytku placu Przyjaciół Sopotu. Straszą koszmarem kolejnych wielkich inwestycji. Jedną z nich ma być przebudowa dworca kolejowego i jego okolic. Planowane są tu nowe hotele, centra handlowe i podziemne parkingi. Wizjonerzy z ratusza myślą też o drugiej (po tej przy molo) marinie, tym razem na sztucznej wyspie, usypanej pośrodku Zatoki Gdańskiej. Tradycjonaliści z uporem powtarzają, że Sopot to nie Abu Dhabi, i że nieoszlifowany bursztyn jest piękniejszy od sztucznych pereł z kolekcji Chanel Coco…

No cóż, dyskusja o gustach nie ma wielkiego sensu. Podobnie jak debata o wyższości świąt Bożego Narodzenia nad świętami Wielkiej Nocy. Przyszłość pokaże, czy Jacek Karnowski, ojciec nowego image'u Sopotu, będzie wspominany, jako budowniczy najbardziej reprezentacyjnego kurortu nad Bałtykiem, czy też pozostanie w pamięci potomnych jako burzyciel legendarnego uzdrowiska, którego walorów nie potrafił ocenić i uznać za swoje.

O Sopocie, jego prezydencie, o wymiarze sprawiedliwości, ekologii i o własnych planach jako parlamentarzysty, rozmawiamy z Posłem na Sejm, Zbigniewem Kozakiem.

Sopocianom należy pogratulować

Bartek Sasper

Riviera: *Platforma Obywatelska i jej zwolennicy po wyborach samorządowych utracili absolutną władzę w swoim bastionie - Sopocie. Dzisiaj Jacek Karnowski jest kontrolowany przez Radę Miasta. Jak pan to ocenia?*

Zbigniew Kozak: Tak. To niekwestionowana wartość, że Karnowski wraz z Platformą utracili w Sopocie pełnię władzy. Efekty są widoczne gołym okiem. Skończyły się i miejmy nadzieję nie wrócą czasy, gdy jeden człowiek zwany „sołtysem" trząsł całym Sopotem, a Rada Miasta często zachowywała się jak pozbawiona własnej woli maszynka do głosowania. Najbardziej cieszy mnie fakt, że mieszkańcy odebrali władzę Platformie dzięki własnej, oddolnej inicjatywie. Tego sopocianom szczególnie należy pogratulować!

Czyli Donald Tusk ma rację - Sopocianom „żyje się lepiej"!

O tak! Najlepiej tym, którzy mają kredyty we frankach…

Minister Jacek Rostowski twierdzi, że to wina światowego kryzysu.

Tak, tak… Stonkę też nam zrzucali imperialiści. Już pan zapomniał, jak minister Rostowski z premierem Tuskiem zapewniali nas, że dzięki ich świetnej polityce kryzys Polskę ominął? Mam przypomnieć mapę z zieloną, dobrze zarządzaną Polską, na tle czerwonej, pogrążonej w kryzysie Europy?

Nie ma potrzeby.

No właśnie. Przypomnę zatem, że PiS już dwa lata temu wskazywał na konieczność zabezpieczenia Polaków zadłużonych w obcych walutach przed ryzykiem kursowym, ale w związku z tym, że ekipa PO lansowała tezę o zielonej wyspie dobrobytu nad Wisłą, nie zrobiono nic, co mogłoby zapobiec katastrofalnej sytuacji, w jakiej znaleźli się dziś Polacy zadłużeni we frankach.

Dajmy spokój frankom. Chyba pan nie wątpi, że Polak da radę? Ja chciałem porozmawiać o Sopocie...

Myślę, że sopocianie odczuwają podobnie, jak mieszkańcy innych regionów Polski, i że hasło „żyje się lepiej" dotyczy bardziej prominentów związanych z Platformą niż tzw. normalnego człowieka. Sopot chce uchodzić za prestiżowe, nowoczesne miasto, a zapomniano w tym wszystkim o potrzebach mieszkańców. Proszę sobie odpowiedzieć na pytanie: Jakie bezpośrednie korzyści z zabetonowania centrum miasta mają ludzie, którzy żyli tu od pokoleń i kochali Sopot takim, jakim był przed laty nim nastała era architektonicznego bezguścia?

Czepia się pan. Turyści są zadowoleni….

Najbardziej ci „upaleni" i „upici", których zgarniają codziennie o szóstej rano z plaży strażnicy miejscy utrzymywani za pieniądze sopocian. Proszę pamiętać, że w Sopocie żyją tacy sami ludzie, z mniejszymi czy większymi problemami, jak w Gdyni, Słupsku czy Warszawie. Dla większości mieszkańców to nie jest żadna oaza dobrobytu. Tygodniowe wczasy w Sopocie ze względu na niebotyczne ceny są niedostępne dla przeciętnego Kowalskiego. Więc nie wydaje mi się, żeby większość sopocian podzielała zadowolenie z polityki dogadzania turystom kosztem mieszkańców.

Czyli jednak „żyje się gorzej"?

Zapewne panu prezydentowi (śmiech) i… przykład pierwszy z brzegu: radnemu Orskiemu, który dotychczas nie widział nic zdrożnego w tym, że stowarzyszenie jego imienia i z jego córką w zarządzie zwraca się do miasta o bezprzetargowe wydzierżawienie nieruchomości na swoją siedzibę.

No to jednak jest lepiej?

Zależy jak leży (śmiech)… A tak serio – najważniejsze, że w końcu w Sopocie zadziałał monteskiuszowski trójpodział władzy, to znaczy władza wykonawcza jest realnie, a nie pozornie oddzielona od uchwałodawczej. Dobrze by było, gdyby jeszcze władza sądownicza uniezależniła się od władzy wykonawczej… Ale z tym może być problem dopóki w Polsce rządzi PO.

PiS współpracuje w sopockiej Radzie Miasta z komitetem „Kocham Sopot". Rozumiem, że sopocianom i Pomorzanom chcecie pokazać, że jesteście cywilizowaną partią dbającą o dobro wszystkich wyborców?

Tak. Prawo i Sprawiedliwość jest otwarte na współpracę, jednak musi się ona mieścić w ideałach partii, a przede wszystkim gwarantować dobro i zrównoważony rozwój społeczeństwa. Dlatego, jeżeli jest okazja uczciwej i solidnej współpracy, to myślę, że należy ją podejmować by poprawić warunki bytowe Polaków. Przykład Sopotu jest kolejnym, który pokazał, że straszenie „pisiorami" to bujda. Choć nie mamy tu żadnej koalicji po prostu działamy w interesie sopocian.

9 października wybory parlamentarne. Czy pańskim zdaniem porażka Platformy w Sopocie w ostatnich wyborach samorządowych, jest sygnałem utraty zaufania Polaków do tej partii?

Tak właśnie myślę. Zwłaszcza, że w zdobyciu całkowitej władzy w Sopocie nie pomogły wizyty takich postaci jak sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta, Sławomir Nowak, czy szef Parlamentu Europejskiego, Jerzy Buzek. To zresztą pokazuje, jak w soczewce, jaką partią jest PO i jakimi standardami ta organizacja kieruje się w życiu publicznym. Wspieranie Karnowskiego – pamiętajmy, polityka obciążonego poważnymi zarzutami - przez panów Buzka i Nowaka było szokujące. Przy tym wszystkim premier Tusk w przededniu drugiej tury udziela wywiadu z peanami na cześć podejrzanego o korupcję kumpla, choć kilka tygodni wcześniej zapewniał, że nikt z zarzutami prokuratorskimi nie powinien aspirować do funkcji publicznych. I to samo prezydent RP Bronisław Komorowski, który całkiem niedawno przecinał wraz z Karnowskim wstęgę na molo… Ach te podwójne standardy moralne…

I co z tego? PO i tak cieszy się poparciem społecznym.

Tu się pan myli. Właśnie sopocki przykład pokazał, że większości mieszkańców takie gierki są nie w smak – wyniki wyborów do Rady Miasta świadczą same za siebie. Karnowski uchodził za niezwyciężonego. I co? Raptem okazało się, że ma w Sopocie tyle samo przeciwników, co i zwolenników, a niezwyciężona PO straciła władzę w Radzie Miasta. Przy okazji szeregi tej partii opuścili wartościowi ludzie. Między innymi wieloletni radni - Jerzy Hall i cieszący się największym poparciem wśród mieszkańców Jarosław Kempa. To, że Karnowskiemu udało się jeszcze utrzymać na stanowisku w tej kadencji wynika przede wszystkim z błędów popełnionych przed drugą turą przez Wojciecha Fułka, a nie z siły Karnowskiego i poparcia, jakiego udzielili mu prominenci PO. Sopocianie mają kolejne ciekawe lata przed sobą. Wszyscy nabierają doświadczenia i walka o wizję Sopotu na pewno się zaostrzy.

Jest pan posłem z okręgu gdyńsko-słupskiego i nie musi zabiegać o głosy sopocian. Dlaczego więc tak bardzo interesuje się pan tym, co dzieje się w naszym mieście?

Sopotem interesowałem się od dawna. I nadal to robię. W ostatnich latach podjęto tutaj wiele nowych inwestycji zmieniających wygląd i funkcjonowanie miasta, między innymi paskudnie zabetonowano centrum. Dochodziły do mnie głosy, że przetargi są ustawiane i przygotowane z korzyścią dla wcześniej ustalonych firm. Składałem wnioski do CBA o spowodowanie kontroli inwestycji pod kątem korupcji. Pisałem też do Ministra Sprawiedliwości. Prokuratury jednak wszystkie postępowania umarzały.

Dla Karnowskiego to dowód, że wszystko było w porządku.

A moim zdaniem to dowód, że polski wymiar sprawiedliwości nie zawsze działa na korzyść ofiar, lecz czasem na korzyść przestępców.

Uważa pan Karnowskiego za przestępcę?

Prokuratorzy, zresztą jedni z najlepszych w Polsce, uznali, że za swoje czyny Karnowski powinien odpowiadać karnie. To śledczy, a nie dziennikarze, czy politycy, postawili mu zarzuty. Przestępcą jednak będzie można go nazwać dopiero po prawomocnym, skazującym wyroku. Na razie jest podejrzanym, ale żądanie „mieszkania na mamę" np. w Skandynawii oznaczałoby definitywny koniec jego kariery – nie tylko politycznej. Przytomnym ludziom, którzy samodzielnie wyciągają wnioski, ujawnione przez sopockiego przedsiębiorcę nagranie w zupełności wystarczyło, by wyrobić sobie zdanie na temat uczciwości, poziomu mentalnego i jakości tego polityka.

Możemy już nie rozmawiać o Karnowskim?

Jasne. To zdecydowanie nieapetyczny wątek. Weźmy w takim razie inny przykład. W waszym mieście współpracuję z Obywatelskim Biurem Interwencji - dodać trzeba świetną organizacją wspierającą ludzi skrzywdzonych przez urzędników i instytucje państwowe. Wraz z nimi zainteresowałem się sprawą pani wiceprezes Sądu Rejonowego w Sopocie, która spowodowała wypadek ze skutkiem śmiertelnym. Nawet nie zdjęto jej immunitetu, aby sprawę wyjaśnić i odpowiedzieć na zarzuty rodziny. Tradycyjnie wymiar sprawiedliwości schował się za immunitetem… Co by było gdyby ta sprawa dotyczyło posła?

Pewnie to samo, co z senatorem Piesiewiczem, który nosem wciągał „lekarstwo" i nadal cieszy się immunitetem, bo jego koledzy z Senatu nie pozwolili go tknąć.

Należy dodać, że to głównie koledzy z PO. Ten przypadek dobitnie pokazuje, że tylko normalni obywatele są dzisiaj bezbronni, a kasta polityczna dba głównie o siebie. Głośny w całej Polsce, a związany z Sopotem, przykład zaginięcia Iwony Wieczorek też to pokazał. Zaangażowałem się w tę sprawę i dopiero wskutek interwencji poselskich i presji mediów podjęto działania usprawniające procedury związane z rejestracją i podejmowaniem szybkich działań w pierwszych godzinach po zgłoszeniu zaginięcia człowieka.

A co robi pan dla Sopotu jako poseł?

Czuję się posłem z Pomorza, Trójmiasta ale też z całej Polski, pomagam więc wszystkim obywatelom. Mam setki skutecznych interwencji na swoim koncie, mnóstwo interpelacji, zapytań. Broniłem między innymi działkowiczów w sprawie likwidacji ich ogródków przy ul. Reja i Smolnej, śledziłem i interpelowałem na temat wyjaśnienia nieprawidłowości związanych z kamienicą przy ul. Haffnera 38. Wspieram, tych którzy zgłaszają się do mnie o pomoc i staram się reprezentować interesy całego regionu.

Konkretniej?

Jeśli chodzi o nasz region, aglomerację trójmiejską, to przede wszystkim chcę doprowadzić do porozumienia samorządowców z firmą ZKM Gdynia oraz ZKM Gdańsk, które obsługują komunikację miejską także w Sopocie. Fatalnie się dzieje, że animozje prezydentów zasiedziałych na stołkach od wielu lat przeważają nad interesem mieszkańców Trójmiasta. Chcę doprowadzić do tego by mieszkańcy Sopotu, Gdańska i Gdyni, a także innych ościennych gmin, mogli swobodnie podróżować komunikacją miejską, kupując jeden bilet.

Wszyscy tego chcemy, ale jakoś od lat nic z tego nie wychodzi… Mija kadencja sejmu, więc może się pan pochwalić swoimi realnymi dokonaniami.

Skoro pan nalega (śmiech).

Możemy sobie na to pozwolić, bo startuje pan z innego okręgu, nikt więc nie powinien posądzać nas o wyborczą propagandę.

No tak. Nie ma nic gorszego niż zostać uznanym za tubę PiS-u (śmiech)… Mam kilka sukcesów i to znaczących. Najważniejszy to powstrzymanie bezprawnych reaktywacji spółek przedwojennych na podstawie kolekcjonerskich dokumentów. To gigantyczna afera, na której Skarb Państwa straciłby – to nie żart - około 100 miliardów złotych. Niedługo opublikuję w tej sprawie raport, co oczywiście budzi popłoch w określonych gremiach, które chcą mnie wyeliminować z polityki.

Może im się to udać?

Mam nadzieję, że nie… A mogę się jeszcze pochwalić?

Skoro pan nalega…

Za niezwykle istotną uważam kwestię nagłośnienia sprawy Eko Doliny i zwiększanie świadomości ludzi na temat zagrożeń związanych z poważnymi zaniedbaniami, które występują na wysypisku śmieci w Łężycach. Mało kto mówi o tym, że smród z tego wysypiska za parę lat może dotrzeć do Sopotu…

Panie Pośle! Kto dziś myśli o tym, co będzie za 5 lat?

Kilku by się znalazło. To ważny temat. Eko Dolina wprowadza w błąd mieszkańców, silnie zatruwa środowisko, a największe pieniądze trwonione są na PR, zamiast na nowoczesne technologie zagospodarowania odpadów. Eko Dolina powinna przede wszystkim dokładać się do badań profilaktycznych okolicznych mieszkańców, zwłaszcza pod kątem chorób nowotworowych, i o to między innymi walczę.

Ja kojarzyłem pana z energetyką, ale może byłem w błędzie?

Nie, nie. Jak najbardziej. Sprawy gospodarcze związane głównie z energetyką i instytucjami finansowymi to także mój konik. Moje interpelacje spowodowały zlikwidowanie podatku VAT na usługi portowe, czy też ułatwienie uzyskania Europejskiej Karty Ubezpieczenia Zdrowotnego. Bliskie są mi też sprawy społeczne, związane z losem zagubionego w tej skomplikowanej rzeczywistości człowieka.

Oj, to chyba się do pana zgłoszę…

Nie ma potrzeby. Jest pan w świetnej kondycji.

Pora kończyć. Dziękuję za rozmowę.

Dzięki.

fot. materiały prasowe

Zbigniew Kozak

urodził się 3 kwietnia 1961 roku w Gdyni, z wykształcenia inżynier elektryk i politolog, poseł na Sejm RP V i VI kadencji. Należy do stowarzyszenia KoLiber oraz Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Gdyni

Z Oksywia do centrum statkiem?

W sześć minut na miejscu

Gdyńscy radni wpadli na ciekawy pomysł. Chcieliby uruchomić morską linię pasażerską pomiędzy Oksywiem, a przystanią przy Skwerze Kościuszki w centrum miasta. Podróż autobusem z Oksywia do Śródmieścia, nawet gdy na ulicach Janka Wiśniewskiego i Admirała Unruga nie ma korków, trwa około 20 minut. Statkiem można by pokonać tę trasę w czasie trzykrotnie krótszym. Kiedyś wojskowe motorówki kursowały pomiędzy Skwerem Kościuszki, a Portem Wojennym i taki rejs trwał około 6 minut. Warunkiem uruchomienia linii byłaby konieczność zbudowania przystani na Oksywiu. Tereny przywodne należą tam do Stoczni Marynarki Wojennej, która właśnie przygotowuje się do częściowej ich wyprzedaży. Zdaniem radnych koszt przedsięwzięcia wcale nie byłby wysoki, a dla osób mieszkających na Oksywiu i pracujących w Śródmieściu (i odwrotnie) stanowiłby duże udogodnienie. Pomysł nie spodobał się jedynie dyrekcji gdyńskich ZKM. Zdaniem dyrektora Olgierda Wyszomirskiego Oksywie i Obłuże obsługiwane są przez znaczną liczbę autobusów i komunikacja morska miałaby walory jedynie turystyczne, a nie ekonomiczne. *(kf)*

fot. kmz

Tramwaje wodne w wielu aglomeracjach europejskich są znakomitym sposobem na rozładowanie problemów komunikacyjnych, być może takie rozwiązania się sprawdzą również w Gdyni.

Open'er ma już 10 lat

Granie na okrągło

Gdyński festiwal Open'er to wydarzenie muzyczne, które już na stałe wpisało się w europejski kalendarz najważniejszych letnich imprez muzycznych. W tym roku odbywał się po raz dziesiąty.

Tegoroczny Open'er Festival stanowił pewnego rodzaju jubileusz – odbył się bowiem po raz dziesiąty. W ciągu czterech dni, od czwartku 30 czerwca do niedzieli 3 lipca, wystąpiła cała plejada artystów muzyki rozrywkowej. Na scenie głównej i scenach bocznych gdyńskiego lotniska wojskowego w Babich Dołach pojawili się m.in. Radiohead, White Lies, Coldplay i legenda rocka Prince. Muzyka na gdyńskim festiwalu brzmiała niemal przez całą dobę. Koncerty rozpoczynały się wczesnym popołudniem, kończyły następnego dnia nad ranem. Bilety wstępu były niestety dość drogie. Jednodniowy kosztował 165 złotych, karnety trzydniowe – od 310 do 366 złotych, a czterodniowe od 370 do 426 złotych. *(kf)*

Czterech kąpielisk strzeże w tym roku 35 ratowników GOPR

Gdyńskie plaże piękne i bezpieczne

W sezonie letnim Gdynia dysponuje czterema strzeżonymi kąpieliskami. Na plażach w Śródmieściu i w Redłowie ratownicy strzegą odcinki brzegu o długości po 200 metrów. W Babich Dołach i w Orłowie – po 100 metrów. Miasto zatrudniło na ten sezon 35 ratowników. Mają oni sporo pracy, bo prócz ewentualnego ratowania tonących i zawracania ku brzegowi tych, którzy zbyt daleko wypłynęli w morze, muszą trzy razy dziennie kontrolować czystość wody i o ewentualnym zanieczyszczeniu powiadamiać natychmiast Sanepid. Na każdej z czterech plaż jest również punkt medyczny, gdzie kąpiący się i opalający mogą szybko uzyskać pierwszą pomoc medyczną, nawet niezwiązaną bezpośrednio z kąpielą morską – na przykład w wypadku użądlenia przez osę czy drobnego skaleczenia. W ubiegłym sezonie takich przypadków było około 350. Do zadań ratowników należy również zabezpieczenie imprez odbywających się na plażach. *(kf)*

REKLAMA

Flügger farby

Na pytania odpowiada ekspert firmy Flügger

Jak odnowić elewację budynku?

Michał Martuzalski

Kupiłem dom z rynku wtórnego i chciałbym odnowić elewację budynku. Nie wiem jednak, jaka farba była położona wcześniej, ani nawet jaki miała kolor. Ten, który jest, wyblakł od słońca. Co powinienem zrobić i jakiej farby użyć do przemalowania?

Zanim przystąpimy do jakiejkolwiek pracy powinniśmy sprawdzić w jakim dokładnie stanie znajduje się nasza elewacja. Czy jej powierzchnia jest czysta, nośna, sucha czy też pod wpływem warunków atmosferycznych nastąpiły w niej trwałe uszkodzenia. Na początek przetrzyjmy ją ciemną szmatką i sprawdźmy czy pozostały ślady spowodowane kredowaniem starej powłoki. Przy okazji zobaczymy także ilość zanieczyszczeń nagromadzonych przez lata. Nie zawsze nasza elewacja wymaga gruntownej renowacji czasem wystarczy porządnie ją wyczyścić i przemalować. Teraz zbadajmy czy stara powłoka na elewacji jest przyczepna i zwarta. Nacinamy ją w tym celu nożem wzdłuż i prostopadle do wcześniejszych linii. Tak, aby uzyskać kwadraty o bokach 2 mm i przyklejamy w to miejsce taśmę z mocnym klejem, jednym ruchem odrywamy taśmę od ściany. Odklejona taśma wraz z fragmentami starej powłoki stanowi dla nas odpowiedź .

Zakurzona i porośnięta

Zakurzona, brudna i porośnięta elewacja to nie problem. Żeby usunąć kurz wystarczy zwykła zmiotka, natomiast Fluren 37 dostępny w sieci sklepów Flügger farby poradzi sobie z każdym brudem, zatłuszczeniem występującym na elewacji. W przypadku zaatakowania podłoża pleśnią lub glonami konieczne jest zastosowanie środka Flügger Facade Anti - green. Ten środek czyszczący doskonale usuwa i zapobiega ponownemu rozwojowi widocznych i niewidocznych zarodników pleśni, glonów i grzybów. Co więcej, praca pójdzie szybciej, jeśli skorzystamy z ciśnieniowego spryskiwacza ogrodowego do aplikacji tego środka.

Spękania

Naszej elewacji mogą towarzyszyć widoczne drobne spękania. Jeśli są one większe, warto je uzupełnić masą do zastosowania zewnętrznego na bazie cementu. Na mniejsze spękania śmiało można użyć Flügger Facade wzmocnienie, która dzięki zawartości włókien pokrywa niewielkie pęknięcia podłoża. Jej właściwości wzmacniające wzrastają wraz z ilością nałożonych warstw.

Gruntowanie

Nie zapominajmy o zagruntowaniu elewacji, oczywiście po wcześniejszym sprawdzeniu chłonności podłoża, czyli potrzeby gruntowania. Warto to zrobić, bo zastosowany grunt zmniejsza chłonność podłoża, zwiększa wydajność farby, a tym samym obniża nam koszty malowania i umożliwia uzyskanie równomiernej kolorystyki elewacji.

Malowanie

Przed malowaniem musimy odczekać aż powierzchnia fasady będzie w pełni utwardzona i wysuszona. Do pomalowania elewacji, na której wcześniej położona była inna farba niewiadomego pochodzenia użyjmy farby Flügger Fasade Universal. To farba olejna dyspersyjna, która toleruje mniej nośne, stare podłoże. Może być stosowana na wszystkie rodzaje fasad, zarówno nowe jak i te starsze, gdzie wymagane są farby tolerancyjne wobec podłoża, gdy ciężko jest oszacować jego stabilność. Tworzy jednolitą powierzchnię o pięknym wyglądzie i to w dowolnym kolorze wybranym spośród wielu barw ze wzornika kolorów zewnętrznych.

Po poradę możecie Państwo zwrócić się także do handlowców z sieci Flügger farby:

- Sopot, ul. Al. Niepodległości 692/694, tel. 058 550 75 79
- Gdańsk, ul. Kartuska 218A, tel. 058 322 38 77
- Gdańsk, ul. Przywidzka 7, tel. 058 302 01 44
- Gdańsk Zaspa, ul. Żwirki I Wigury 8, tel. 058 340 98 13
- Gdańsk Matarnia, ul. Złota Karczma 26, tel. 058 522 34 32
- Gdańsk Wrzeszcz, ul. Grunwaldzka 18, tel. 551 32 91
- Gdynia Karwiny, ul. Chwaszczyńska 21, tel. 058 629 47 47
- Gdynia, ul. Morska 123/125, tel. 058 667 01 33
- Gdynia, ul. Władysława IV 53, tel. 058 551 23 72
- Rumia, ul. Grunwaldzka 18, tel. 058 679 32 23

Z mecenasem Dariuszem Odyńcem, prezesem Zrzeszenia Polskojęzycznych Prawników w Niemczech, rozmawiamy o zniesieniu ostatnich ograniczeń w dostępie do niemieckiego rynku pracy i związanych z tym zmianach w prawie europejskim.

NIEMCY są przereklamowane

Krzysztof M. Załuski

„Riviera": 1 maja 2011 roku Republika Federalna Niemiec otworzyła obywatelom polskim swój rynek pracy. Pociągnęło to za sobą poważne zmiany w prawie pracy, prawie karnym, handlowym i cywilnym. Proszę powiedzieć, na czym polegają te nowe europejskie regulacje prawne?

Dariusz Odyniec: Zmiany w prawie, jakie nastąpiły w ostatnich latach są generalnie bardzo istotne. Po 1. maja mamy jedynie do czynienia ze zmianą stanu prawnego, polegającą na otwarciu niemieckiego rynku pracy dla polskich obywateli. To z kolei wymusza stosowanie różnych regulacji prawych (polskich, niemieckich lub europejskich) w niemalże wszystkich dziedzinach prawnych. Ta nowa sytuacja jest tak znacząca, że postanowiliśmy poświęcić temu tematowi specjalne międzynarodowe seminarium. Do spotkania kilkudziesięciu prawników z Polski i z Niemiec doszło w połowie maja w Sopocie z inicjatywy Zrzeszenia Polskojęzycznych Prawników w Niemczech (VPJ). W seminarium wzięło udział szereg renomowanych referentów, miedzy innymi prof. dr hab. Fryderyk Zoll i sędzia Sądu Najwyższego Andrzej Siuchniński. Swoją obecnością zaszczycił nas również Prezes Naczelnej Rady Adwokackiej mec. Andrzej Zwara. Seminarium przebiegało w myśl idei: „prawnicy bez granic" i dotyczyło wspomnianych przez pana zmian w prawie europejskim.

Co w praktyce oznaczają te zmiany dla potencjalnego polskiego pracownika poszukującego pracy za Odrą?

W pierwszej kolejności konfrontację z często kompletnie nowymi zasadami współżycia społecznego, lokalnymi zwyczajami, a nierzadko również zupełnie innymi, niż te dotychczas znane, przepisami prawnymi. No niestety tak jest: inny kraj – inny porządek prawny. Unia Europejska jeszcze długo nie będzie monolitem… Na szczęście wiele obszarów prawnych zostało już w UE ujednolicone lub przynajmniej zharmonizowane.

Czy zatem status prawny Polaka pracującego w Niemczech nie różni się już niczym od statusu Niemca? Czy możemy bez ograniczeń meldować się na terenie RFN, otwierać własne firmy i zatrudniać pracowników, w tym również cudzoziemców?

Obywatele polscy mogli bez przeszkód zakładać firmy już od momentu przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Mogli też zatrudniać polskich pracowników, pod warunkiem jednak, że osoby te posiadały niemieckie zezwolenia na pracę lub takich zezwoleń nie potrzebowały. Od 1 maja br. każdy polski obywatel, może już podejmować zatrudnienie u każdego niemieckiego (lub polskiego) pracodawcy bez potrzeby wcześniejszego uzyskania zezwolenia na pracę.

Czy w ciągu pierwszych dwóch miesięcy po otwarciu niemieckiego rynku zaobserwował pan wzmożony ruch w kancelarii?

Swoją kancelarię prowadzę w Niemczech już od 15 lat i ruch mieliśmy zawsze spory. Pod tym względem nic się nie zmieniło po 1 maja. Jakiegoś szczególnego nasilenia problemów prawnych również nie odnotowujemy. Jednakże problemy takie, jeżeli miałyby nadejść, pojawią się z pewnym poślizgiem czasowym. Obecnie mamy wielu klientów, zwracających się z pytaniami dotyczącymi sfery zatrudnienia. I to cieszy, że ludzie i firmy, zanim wykonają jakieś nie do końca przemyślane ruchy prawne, zbierają informacje u prawników, a nie na przykład od osób przygodnych. Na razie jednak są to tylko takie „uprzejmości prawne". Na dobre adwokata szuka się dopiero wtedy, gdy robi się „goraco" lub wtedy, gdy konflikt prawny się zaostrza, np. kiedy pracodawca nie wypłaci wynagrodzenia, wypowie stosunek pracy lub pojawiają się nieprawidłowości z punktu widzenia urzędów kontrolujących rynek pracy.

Co pańska kancelaria oferuje Polakom, którzy zdecydują się na emigrację lub na podjęcie stałej pracy w Niemczech?

Mamy przygotowane w przystępnej formie, również w języku polskim, zasady i porady dotyczące najistotniejszych spraw, o których przyjeżdżając do Niemiec w żadnym wypadku nie wolno zapomnieć. Do tego należą na przykład terminy dochodzenia roszczeń wynikających ze stosunku pracy, które po upływie takiego terminu zwyczajnie przepadają. Często zdarza się, że osoby przyjeżdżające z Polski przekonane są, iż rozwiązania prawne znane z polskiego porządku prawnego obowiązują również w Niemczech. Nic bardziej mylnego. Przykładowo pokutuje przekonanie, że pracodawca w trakcie trwania zwolnienia lekarskiego nie może wypowiedzieć stosunku pracy. Niestety według niemieckich regulacji prawnych jest to jak najbardziej możliwe… Oczywiście nasza kancelaria nie zajmuje się wyłącznie sprawami prawa pracy, zakres naszych usług jest znacznie szerszy.

Obecnie w Republice Federalnej Niemiec mieszka 2 mln osób polskiego pochodzenia. Według prof. Krystyny Iglickiej, demograf z Centrum Stosunków Międzynarodowych, do grudnia 2012 z Polski do Niemiec wyjedzie na stałe kolejny milion osób. Czy według pana jest to korzystne zjawisko?

Mam wrażenie, że exodusu na taką skalę nie ma i nie będzie. Niemcy spóźnili się z otwarciem swojego rynku pracy. Kto zamierzał szukać „szczęścia" poza Polską, już dawno to zrobił, korzystając z ofert angielskich hiszpańskich czy holenderskich pracodawców. Niemcy strzegli swojego rynku pracy do samego końca i teraz na tym stracą. Już brakuje kwalifikowanych pracowników, a może być jeszcze gorzej, bo niemiecka gospodarka wyszła z zapaści i zaczyna się rozkręcać. Osobiście nie należę do zwolenników emigracji. Do wyjazdu z Polski nikogo nie będę zachęcał. Zwłaszcza, że Niemcy są „przereklamowane". Wyjeżdżając za granicę trzeba mieć na względzie fakt, że nakłady pracy i wysiłek włożony w pokonanie trudności prawnych, logistycznych (często towarzyszy im rozłąka z rodziną), wreszcie językowych i kulturowych, będzie ogromny. Ten sam wysiłek, poczyniony w Polsce, zapewne również przyniósłby efekty w postaci intratnego miejsca pracy. W tej chwili możliwości w Polsce są nieporównywalnie większe niż przed 20 czy 30 laty.
W Niemczech spotkałem wiele osób z Polski, które chciały uczciwie prowadzić firmę lub pracować, ale były tak „perfekcyjnie" kontrolowane przez tutejsze urzędy lub zwyczajnie oszukane, że pozostawał im jedynie powrót do kraju z ogromnymi długami i często nadszarpniętym zdrowiem. Z drugiej jednak strony nie chce uprawiać czarnowidztwa. Znaleźć przecież można równie wiele przykładów na sukces, awans lub chociażby poprawę sytuacji materialnej. Ponadto wiadomo - podróże kształcą.

Więcej informacji:
Rechtsanwälte Odyniec & Kollegen, Ostenallee 11, D-59063 Hamm, tel: +49-2381-306474, www.odyniec.de
Verband Polnischsprachiger Juristen e.V., Zrzeszenie Polskojęzycznych Prawników, Postfach 20 93, D-59010 Hamm, vpj@vpj.info, fax +49 (0) 2381 30 64 75.

Polska i Niemcy w liczbach:

- **415 000** obywateli polskich mieszka na stałe w Niemczech.
- **1.200.000** do **1.600.000** osób przyjechało z Polski do Niemiec, jako przesiedleńcy w latach 80 i 90. ubiegłego stulecia.
- **1.000.000** polskich imigrantów osiedli się w RFN do końca 2012 r.
- **2.000.000** Polaków mieszkało w Niemczech w okresie Republiki Weimarskiej.
- **2.500.000** polskich robotników przymusowych zostało wywiezionych do Rzeszy w okresie II wojny światowej.
- **13,1 proc** wynosi stopa bezrobocia w Polsce.
- **7,3 proc** wynosi stopa bezrobocia w Niemczech.
- **2600 zł** to przeciętne miesięczne wynagrodzenie w Polsce (netto).
- **6000 zł** to przeciętne miesięczne wynagrodzenie w Niemczech (netto).
- Koszty utrzymania w Polsce i w Niemczech są niemal identyczne.

Przybyli spadochroniarze, ale nie było merytorycznej dyskusji.

Konwencja Platformy w Ergo Arenie

11 czerwca br. w hali Ergo Arena na granicy Gdańska i Sopotu odbyła się konwencja Platformy Obywatelskiej. Uczestniczyło w niej kilkanaście tysięcy członków partii i zaproszonych gości. Obecni byli secesjoniści z innych partii: Joanna Kluzik-Rostowska, która od PiS, poprzez Polska Jest Najważniejsza, dobiła do przystani PO, oraz Bartosz Arłukowicz, niegdyś czołowy działacz SLD, obecnie „nawrócony" na liberalizm.

W jesiennych wyborach parlamentarnych z listy PO wystartuje także inny działacz lewicy, Dariusz Rosati. Obecny był również Marszałek Senatu Bogdan Borusewicz, który oznajmił, że zdecydował się wstąpić w szeregi rządzącej partii. Zwracając się do secesjonistów premier Donald Tusk stwierdził, że w PO jest miejsce dla każdego kto chce służyć Polsce. Konwencja przebiegała w optymistycznym tonie, zabrakło natomiast merytorycznej dyskusji na temat aktualnej sytuacji gospodarczej kraju. ***(as)***

Inicjatywa obywatelska

Nic o nas, bez nas

W dniach od 18 do 19 czerwca br. w Poznaniu odbył się Kongres Ruchów Miejskich. Jego organizatorem było stowarzyszenie: „My Poznaniacy". Do grodu nad Wartą przybyło ponad sto osób, reprezentujących niemal 50 organizacji obywatelskich, zrzeszających ekologów, inżynierów, socjologów, a także przedstawicieli rad osiedlowych z miast całego kraju. Pomorze reprezentowali między innymi działacze społeczni z Gdańska, Sopotu i Rumi.

Dyskusja dotyczyła rozwoju miast polskich, który nie powinien dokonywać się bez udziału mieszkańców, a często nawet wbrew ich woli. Uczestnicy kongresu zwracali uwagę na anachronizm aktualnego planowania miejskiej przestrzeni. Według nich powstają osiedla, do których nie dojeżdża żaden pojazd komunikacji publicznej, osiedla bez sklepów i punktów usługowych, gdzie mieszkańcy pozostawieni są własnemu losowi. Tzw. rewitalizacja zaniedbanych dzielnic polega przeważnie na odmalowaniu fasad domów i wymianie stolarki drzwiowej i okiennej, bez wnikania w socjologiczne stosunki panujące w tych domach. Dyskutanci mocno podkreślali, że chcą mieć udział w decyzjach podejmowanych przez władze miast. Przygotowali dziewięć „tez o mieście". 29 czerwca tezy te zostały wywieszone na drzwiach ratuszowych w miastach, których działacze brali udział w konferencji. Michał Szymański, prezes Stowarzyszenia Forum Rozwoju Aglomeracji Gdańskiej uważa, że ogłoszenie tez stanowi nowe zjawisko, świadczące o odrodzeniu się polskiego mieszczaństwa i trosce obywateli o przestrzeń, w jakiej przyszło im żyć. Zupełnie inne zdanie na ten temat mają samorządowi urzędnicy. Maciej Lisicki, wiceprezydent Gdańska do spraw polityki komunalnej zwierzył się jednej z gazet, że nie bardzo wierzy w skuteczność tego typu działań. Uważa, że „tezy o mieście" są jedynie akcję medialną. Zdaniem wiceprezydenta działacze społeczni łatwiej mogliby zrealizować swoje postulaty startując na przykład w wyborach samorządowych i wchodząc tym samym do władz miasta.

(kmz)

Dziewięć tez o mieście

1. Mieszkańcy mają niezbywalne prawo do miasta.
2. Budżet partycypacyjny to tworzenie przez mieszkańców całego budżetu miasta. To nie tylko procedury, ale szeroki ruch społeczny.
3. Zagwarantowanie sprawiedliwości społecznej i przeciwdziałanie ubóstwu i wykluczeniu jest obowiązkiem wspólnoty miejskiej.
4. Rewitalizacja historycznych obszarów podtrzymuje tożsamość miast i jest warunkiem ich rozwoju. Nie może ograniczać się do remontów, musi być zintegrowanym działaniem wypracowanym wraz z mieszkańcami.
5. Dość chaosu! Kultura przestrzeni zagwarantowana ładem prawnym pozwoli na podniesienie jakości życia w mieście.
6. Demokracja to nie tylko wybory. Mieszkańcy mają prawo do realnego, opartego na wzajemnym szacunku, udziału w podejmowaniu decyzji o mieście.
7. Miasta i obszary metropolitalne powinny być zarządzane zgodnie z zasadami zrównoważonego rozwoju i przeciwdziałania procesom suburbanizacji.
8. Lokalizowanie instytucji krajowych w różnych miastach sprzyja rozwojowi całego kraju.
9. Polskie miasta i obszary metropolitalne potrzebują wsparcia w integracji systemów transportu: kolejowego, drogowego, publicznego transportu zbiorowego, rowerowego i pieszego dla osiągnięcia celów Białej Księgi o transporcie i Karty Lipskiej.

Z Pawłem Poncyliuszem, posłem na Sejm, przewodniczącym klubu parlamentarnego Polska Jest Najważniejsza, rozmawiamy o programie nowopowstałego ugrupowania.

Konserwatywni, prorodzinni, prorynkowi

Krzysztof M. Załuski

„Riviera”: *Panie Pośle, skąd pomysł powołania partii Polska Jest Najważniejsza?*

Paweł Poncyliusz: W Polsce od paru lat toczy się wojna polsko-polska. Wojna, z punktu widzenia przeciętnego Polaka, zupełnie niezrozumiała. To, co robią politycy Platformy Obywatelskiej i PiS-u jest nie tylko nieefektywne, lecz również nie spełnia konkretnych oczekiwań coraz większej rzeszy Polaków. Nie wspominając o tym, że żadna z tych partii nie jest w stanie rozwiązać podstawowych problemów, z jakimi wszyscy na co dzień się borykamy. Naszym zdaniem, główni gracze polityczni zajmują się sami sobą, a nie tym czym powinni się zajmować, czyli reformowaniem i modernizowaniem państwa. Postawa liderów PO i PiS prowadzi Polskę do nikąd. Dlatego zdecydowaliśmy powołać ugrupowanie o nazwie Polska Jest Najważniejsza.

Jak w paru zdaniach scharakteryzowałby pan założenia programowe tej partii?

Program PJN osadzony jest na trzech filarach. Z jednej strony jesteśmy konserwatywni światopoglądowo, z drugiej wolnorynkowi gospodarczo, a z trzeciej uwrażliwieni społecznie. Szczególnie zależy nam na promowaniu idei solidarności z rodzinami wielodzietnymi i popieraniu dzietności wśród małżeństw. Dostrzegamy również rolę wolnego rynku. Przedsiębiorcę bowiem traktujemy, jako dobro narodowe, które generuje produkt krajowy brutto. Naszą powinnością jako polityków, jest stworzenie takich warunków prawnych, by przedsiębiorca mógł swobodnie rozwijać swój biznes, żeby więcej czasu mógł poświęcić przedsiębiorstwu, a mniej formalnościom i pokonywaniu barier biurokratycznych.

Powiedział pan, że PJN to partia prorodzinna. Co konkretnie chcecie państwo zrobić w tej dziedzinie?

Naszym zdaniem pieniądze przeznaczane obecnie na wspieranie rodzin są mocno rozproszone i często kierowane są do osób, które tych pieniędzy tak naprawdę nie potrzebują. Na przykład „becikowe” - jeśli otrzymuje je rodzina, której łączny dochód miesięczny wynosi 1 do 2 tysięcy złotych, to pieniądze te są dla niej istotną kwotą. Lecz jeśli dostają je osoby z budżetem miesięcznym rzędu 30 tysięcy, to w tym wypadku taka suma staje się niemal niezauważalna. Tego rodzaju nieprzemyślane rozdawnictwo w skali roku kosztuje państwo ponad 400 milionów złotych. Jesteśmy więc za skasowaniem „becikowego” w obecnej formie i zastąpieniem go innymi formami wsparcia. Z przeprowadzonych na nasze zlecenie badań wynika, że kobiety niechętnie decydują się na kolejne dziecko z obawy o utratę pracy, o znalezienie miejsca w przedszkolu, czy w żłobku. I to właśnie ta niepewność finansowa jest, naszym zdaniem, głównym powodem niskiej dzietności Polek. Dlatego proponujemy bezpośrednie wsparcie finansowe każdej rodziny sumą wysokości 400 złotych na dziecko. Proponujemy także wprowadzenie bonu edukacyjnego wysokości 200 złotych.

Paweł Poncyliusz

Urodził się 18 maja 1969 r. w Warszawie, od 2001 jest posłem na Sejm IV, V i VI kadencji; w latach 2006 – 2007 był wiceministrem gospodarki, 7 czerwca 2011 został przewodniczącym klubu parlamentarnego Polska Jest Najważniejsza.

Rozumiem, że ma to być coś w rodzaju niemieckiego „Kindergeld”?

Przyglądamy się różnym rozwiązaniom. Zwłaszcza francuskiemu i niemieckiemu. Oba mają swoje zalety i wady. Model francuski, zakładający odliczenia od podatku uwzględniające kolejne osoby fiskalnie, czyli dzieci, ma zasadniczą wadę. Mianowicie w Polsce część rodzin ma dochód na tyle niski, iż tak naprawdę nie miałby czego odliczać. Model niemiecki zakłada natomiast wypłacanie co miesiąc wspomnianego przez pana „Kindergeld”, czyli pieniędzy na każde kolejne dziecko. I to jest naszym zdaniem lepsze rozwiązanie, bo podkreśla suwerenność decyzji rodziny. W końcu to rodzice najlepiej będą wiedzieć, na co przeznaczyć otrzymane od państwa pieniądze, czy na prywatne przedszkole, czy na prywatną szkołę… Zresztą obecnie nauka nie kończy się na zajęciach szkolnych. Istnieje cała gama zajęć dodatkowych - artystycznych, sportowych, językowych. I właśnie finansowaniu tego rodzaju zajęć pozaszkolnych służyć by miały proponowane przez PJN bony edukacyjne.

W Niemczech „Kindergeld”, wypłacane jest do uzyskania przez dziecko pełnoletniości, a w przypadku młodzieży uczącej się do 27. roku życia. Poza tą formą wsparcia istnieje również zasiłek wychowawczy, zasiłek macierzyński oraz zasiłek dla samotnych rodziców. Rodzinom wielodzietnym państwo zmniejsza również podatki, a rodziny z czwórką i większą ilością dzieci nie płacą ich w ogóle. Ze skarbu państwa dofinansowywany jest także zakup pierwszego domu lub mieszkania. Skąd w Polsce brać na to wszystko fundusze?

Pieniądze te mogłyby pochodzić z reformy finansów publicznych, a taka reforma, powiedzmy to sobie otwarcie, jest bardziej niż konieczna… Z naszych badań wynika, że ponad 65 procent ankietowanych byłaby w stanie zaakceptować głęboką reformę finansów publicznych, nawet jeśli miałaby ona osobiście ich dotknąć, pod warunkiem, że służyłaby właśnie polityce prorodzinnej.

Wspomniał pan, że jednym z filarów programu PJN jest gospodarka. W czym przejawia się prorynkowość pańskiego ugrupowania?

PJN proponuje płaskie podatki. Docelowo tak VAT jak i podatek dochodowy od osób fizycznych PIT wynosić powinny 19 procent, oczywiście z kwotą wolną od podatku. Postulujemy również zlikwidowanie wszelkiego rodzaju koncesji i zastąpienie ich jedynie zgłoszeniami. Uważamy także, że zniesione powinny zostać wszystkie ulgi, z wyłączeniem prorodzinnych. Na obowiązujące obecnie ulgi nas, jako państwa, po prostu nie stać. Pieniądze z budżetu państwa powinny być kierowane tam, gdzie są rzeczywiście potrzebne. A obecnie ulgi należą się wszystkim, i tym bogatym i tym mniej zamożnym.
Kolejna rzecz to reforma sądownictwa. Sądy powinny rozstrzygać wszelkie spory między kontrahentami w czasie nie dłuższym niż 90 dni. Jeśli tego nie zrobią, strona pokrzywdzona mogłaby dochodzić roszczenia od Skarbu Państwa. Przyspieszyłoby to zasadniczo czas orzekania w sprawach gospodarczych - dziś takie procesy trwają średnio 560 dni, co oznacza, że firma, nawet jeśli wygra sprawę, często jest już bankrutem.
Akcentujemy także wprowadzenie odpowiedzialności finansowej czołowych polityków. W naszym programie gospodarczym proponujemy, aby część ich zarobków zależała od postępu realizacji obietnic zawartych w *exposé* premiera. W tej chwili, poza okresem wyborów, nikt przecież nikogo z obietnic wyborczych nie rozlicza.

Przedsiębiorcy skarżą się na bariery biurokratyczne, które jeśli nie uniemożliwiają, to na pewno utrudniają im działanie. Weźmy choćby sprawę „samochodów z kratką”, albo niechlubny artykuł 585 Kodeksu Spółek Handlowych…

PJN zarejestrowana została zaledwie kilka miesięcy temu, jesteśmy więc bardzo młodą partią. Mimo tego zdążyliśmy już złożyć w Sejmie kilka projektów nowelizacji ustaw m.in. projekt w sprawie wspomnianego przez pana artykułu 585 k.s.h. Nasz projekt zakłada odebranie prokuratorom możliwości oceniania, czy przedsiębiorca rzeczywiście działa na szkodę spółki. Zapis w obecnym kształcie umożliwia zastosowanie aresztu wobec przedsiębiorcy, bo prokurator uznał, że inwestycja, którą dany biznesmen poczynił we własnej firmie jest chybiona i jest to traktowane jako działanie na szkodę spółki. Podobny zamęt prawny powodują niejasne i często zmieniane przepisy, dotyczące samochodów firmowych.
Uważam, że warto skorzystać z rozwiązań niemieckich, polegających na ryczałtowym określaniu kosztów używania samochodu osobowego (ok. 60%), zaliczanych do kosztów uzyskania przychodów. Dzięki temu przedsiębiorca nie musiałby prowadzić wielu skomplikowanych operacji prawnych i finansowych po to, aby koszty samochodu obniżały przychody firmy. W tej chwili pracujemy nad bardzo wieloma projektami zmian przepisów legislacyjnych. Myślę, że już wkrótce zaproponujemy Polakom konkretne rozwiązania, które ułatwią nam wszystkim życie.

Przed nami wybory parlamentarne, na jaki odsetek głosów oddanych na PJN pan liczy?

Liczę na wynik powyżej 5%. Czy będzie on wiele wyższy od tego poziomu zależy od naszej ciężkiej pracy i poziomu rozczarowania Polaków ciągłą wojną prowadzoną przez PiS i PO.

fot. archiwum

Panorama Development chce wybudować na Brodzinie jeszcze jeden wieżowiec. Pomysł ten nie spodobał się urzędnikom magistratu i prezydentowi miasta. Sprawa trafiła do sądu, który uznał zeszłoroczną uchwałę Rady Miasta za bezprawną.

Sopot. Wojewódzki Sąd Administracyjny: Miejscowy Plan Zagospodarowania Przestrzennego jest niezgodny z prawem.

Będą mieszkania komunalne na Brodwinie?

Andrzej Stanisławski

Przed trzema laty firma Panorama Development przymierzała się do budowy wieżowca na sopockim osiedlu Brodwino. Miały znaleźć się w nim m.in. mieszkania komunalne. Przeciwko kolejnemu wysokościowcowi protestowała część mieszkańców okolicznych domów. 26 czerwca 2010 r. ówczesna Rada Miasta Sopotu orzekła, że inwestycja byłaby niezgodna z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego osiedla. Prawie rok później, 21 kwietnia 2011 r., Wojewódzki Sąd Administracyjny w Gdańsku uchylił ten plan, jako bezprawny. Werdykt WSA otworzył inwestorowi możliwość ponownego starania się o wzniesienie wielokondygnacyjnego budynku.

Sprawa zdawała się być ostatecznie rozstrzygnięta. Mimo to firma Panorama Development zaskarżyła uchwałę ówczesnej Rady Miasta do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Gdańsku. Kilka tygodni temu WSA wydał wyrok, w którym uzasadnia, iż tryb uchwalenia planu zagospodarowania przestrzennego Brodwina został dokonany niezgodnie z prawem. Plan ten został bowiem uchwalony na tej samej sesji Rady Miasta, 25 czerwca ubiegłego roku, na której zatwierdzone zostało Studium Uwarunkowań i Kierunków Zagospodarowania Przestrzennego Sopotu. Sąd zwrócił uwagę, iż w czasie, gdy trwały prace nad Planem Zagospodarowania Brodwina obowiązywało Studium pochodzące z roku 2002. Tak więc Plan ten był zgodny z pierwotnym Studium, a nie z tym, uchwalonym 25 czerwca 2010 roku.
Na początku zeszłego roku przedstawiciele zarządu spółki Panorama Development złożyli na ręce prezydenta Karnowskiego propozycję przekazania miastu 10 mieszkań komunalnych, mających znaleźć się w budynku, który firma zamierzała wybudować na Brodwinie. Propozycja pozostała bez odpowiedzi. Jacek Karnowski zarządził natomiast konsultacje społeczne, które zdaniem dewelopera „zostały zmanipulowane przez prezydenta, który nie tylko nie przestrzega obowiązujących przepisów prawa, ale i nie liczy się z opinią i potrzebami mieszkańców miasta. Chodzi mu wyłącznie o interes wyborczy, czego wyrazem jest umizgiwanie się do starszej, zachowawczej części mieszkańców Sopotu”.
Obecne orzeczenie Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Gdańsku otwiera Panoramie drogę do ponownego starania się o wybudowanie 12-kondygnacyjnego wieżowca. Jest więc szansa, że 10 sopockich rodzin uzyska wkrótce klucze do mieszkań komunalnych.

Czytaj również:
www.panorama.pl

Fluor cichy zabójca

Trucizna w paście do zębów

Przez lata dodatki fluorowe w pastach do zębów były promowane przez stomatologów, jako niezbędny suplement. Okazuje się jednak, że fluor jest związkiem trującym i stanowi poważne zagrożenie dla zdrowia fizycznego i psychicznego ludzi. W świetle raportów naukowców, szczególnie narażeni na działanie fluoru są mieszkańcy dużych aglomeracji, w tym Trójmiasta.

Krzysztof M. Załuski

Fluor to gaz o żółtawo-zielonym kolorze i silnym zapachu. Jest aktywny chemicznie, wchodzi w związki z większością pierwiastków z wyjątkiem tlenu. W połączeniu z wodorem tworzy mieszankę wybuchową o nazwie fluowodór. W przemyśle używany jest do chłodzenia lodówek i zamrażarek. Jego cieniutka warstwa na patelniach (teflon) sprawia, że kotlety się nie przypalają. Dodany do olejów silnikowych tworzy na metalowej powierzchni śliską powłokę, ułatwiającą pracę silnika i zmniejszającą zużycie paliwa.

Na uspokojenie i do manipulacji

Fluor jest także stosowany w medycynie jako jeden z głównych składników leków psychotropowych. Dodany do środka uspokajającego valium, tworzy znacznie silniejszy lek o nazwie rohypnol, który znajduje zastosowanie w szpitalach psychiatrycznych i domach opieki społecznej; ale nie tylko - z jego mieszanki z alkoholem otrzymywana jest również tzw. „tabletka gwałtu".

Substancje zawierające związki fluoru, zwalniając reakcje umysłowe, sprawiają, iż osoby je zażywające stają się uległe i są podatne na manipulacje. Preparatami takimi faszerowano oponentów politycznych w krajach totalitarnych: Niemczech hitlerowskich i Związku Radzieckim, stosowano go również w USA. Do dziś fluor dodaje się do wody i do preparatów stomatologicznych, co ma rzekomo zapobiegać próchnicy – „rzekomo", bo okazuje się, że choć szkliwo zęba bombardowanego fluorem staje się bardziej odporne na rozpuszczenie w kwasach, to wewnątrz ząb kruszeje.

Na szkodliwe działanie fluoru najbardziej narażone są dzieci. Wiele z nich, podczas mycia zębów ma zwyczaj połykania znacznych ilości pasty. Takie dzieci wykazują potem chroniczne zmęczenie, mają obniżony system odpornościowy organizmu oraz poziom IQ. Przedawkowanie fluoru grozi nie tylko wieloma chorobami m.in. deformacją stawów i kręgosłupa, osteoporozą, nowotworem kości, lecz również śmiercią. Najdrastyczniejszym chyba przykładem przedawkowania fluoru jest sprawa trzyletniego chłopca, opisana w roku 1979 r. przez New York Times. Według dziennika, dziecko zmarło na fotelu dentystycznym w trakcie fluorowania dziąseł specjalnym żelem. Rodzina ofiary dostała wówczas odszkodowanie wysokości 750 tys. dolarów.

Wołanie na puszczy

Środowiska naukowe, zwłaszcza te niezależne od stomatologicznego lobby, od lat kwestionowały celowość stosowania fluoru. Nawet UNICEF, w raporcie z 1999 roku alarmował rządy państw całego świata, że jest to pierwiastek o wyjątkowo toksycznych właściwościach. Również badania prowadzone przez naukowców ze Śląskiej Akademii Medycznej dowiodły, że nadmiar fluoru działa szkodliwie nie tylko na zęby, lecz również na ogólny stan ludzkiego zdrowia. Jak wynika z tych badań, na niepożądane właściwości pierwiastka narażeni są zwłaszcza mieszkańcy wielkich aglomeracji miejskich, w których działają m.in. huty stali i aluminium, fabryki nawozów fosforowych, mieszanek paszowych, cegielnie i wytwórnie materiałów ceramicznych. Niestety, oprócz śląskich naukowców, nikt w Polsce poważnie nie zajął się tym tematem, a podawanie fluoru w pastach, żelach, oraz płynach do zębów, a nawet w tabletkach, pozostało praktyką powszechną – podobnie jak w całej niemal Europie. W wielu krajach dodatkowo stosuje się jeszcze fluorowanie wody dostarczanej do domów wodociągami. Wyjątek stanowi Belgia, która - jako pierwszy kraj na świecie, już w połowie poprzedniej dekady - zakazała stosowania jakichkolwiek preparatów zawierających fluor. Jej rząd w roku 2005 zaproponował nawet, aby zabronić rozprowadzania takich substancji w całej Unii Europejskiej. Komisja Europejska doszła jednak do wniosku, że na tak radykalne posunięcia jest jeszcze za wcześnie.

Pomorskie Kilimandżaro

Każdy człowiek przyjmuje fluor w sposób naturalny. Pierwiastek ten znajduje się w herbacie, rybach, fasoli, szpinaku, marchwi, ziemniakach, mleku i w wielu innych potrawach, tak zwierzęcego jak roślinnego pochodzenia. Naukowcy przestrzegają, że nagromadzenie fluoru w atmosferze jest obecnie tak duże, że jego dodatkowe przyjmowanie (w jakiejkolwiek formie), może stanowić poważne zagrożenie dla zdrowia.

Niestety szczególną ostrożność powinni zachować również mieszkańcy Trójmiasta. Według raportów Greenpeace'u, Pomorze jest bowiem jednym z najbardziej zanieczyszczonych tym pierwiastkiem rejonów w Polsce. Zdaniem ekologów, głównym powodem tego zanieczyszczenia jest „góra" usytuowana w pobliżu wsi Wiślinka. Pięćdziesięciometrowe wzniesienie, przewrotnie zwane „Kilimandżaro", zawiera w sobie około 16 milionów ton fosfogipsu, pochodzącego z Gdańskich Zakładów Nawozów Fosforowych. Aktywiści Greenpeace'u twierdzą, że odpady te nadal - pomimo uspakajających raportów lokalnych władz – trują nie tylko atmosferę, lecz także przenikają do wód gruntowych, a wraz z nimi przedostają się do Martwej Wisły i Bałtyku, co sprawia, iż zachorowalność na nowotwory jest w Województwie Pomorskim dwukrotnie, a w okolicy Wiślinki nawet trzykrotnie wyższa niż przeciętna krajowa.

W tym kontekście trudno zrozumieć bierność nie tylko urzędników, bezpośrednio odpowiedzialnych za zdrowie obywateli, lecz również mediów, które przecież nie są na garnuszku stomatologicznego lobby.

Zapadalność na choroby nowotworowe w Trójmieście jest dwukrotnie wyższa niż przeciętna krajowa, według aktywistów Greenpeace'u to właśnie pomorskie „Kilimandżaro" jest tego powodem.

Wróć do natury

Dlatego też kupując pastę do zębów dla siebie, czy dla naszych dzieci, powinniśmy szukać preparatów opartych na recepturach naturalnych, pozbawionych nie tylko fluoru, lecz również mentolu, miętowych olejków eterycznych, syntetycznych barwników, aromatów czy środków konserwujących. Pasty naturalne, zawierające wyciągi z rumianku, mirry, szałwii, a także minerały pozyskiwane z soli morskiej, zapewniają nie tylko kompleksową higienę jamy ustnej, lecz również pomagają przywrócić normalny odczyn pH, a tym samym zapobiegają powstawaniu kamienia nazębnego i próchnicy, pochłaniają także nieprzyjemny zapach i remineralizują dziąsła.

Takich preparatów jest na polskim rynku sporo. Jeden z nich to pasta Ziaja Szałwiowa. Produkt ten jest nie tylko skuteczny, usuwa bowiem kamień nazębny, łagodzi podrażnienie błony śluzowej i zapobiega zapaleniu dziąseł, lecz także - w porównaniu z innymi preparatami naturalnymi - niedrogi. Podobnymi własnościami charakteryzuje się żel Tołpa Chamosal-Dent, zawierający m.in. unikalny wyciąg torfowy wzmacniający i regenerujący tkanki przyzębia i błony śluzowej jamy ustnej. Homeopaci polecają również pasty firm Vilcacora, Ajona, Lavera, Labogravier i NenedentBaby.

Stosowanie naturalnych preparatów do czyszczenia jamy ustnej pewnie nie uwolni nas od zagrożeń, jakie niesie ze sobą współczesna cywilizacja, ale bez wątpienia będzie to pierwszy krok w walce z cichym zabójcą – fluorem.

fot. materiały prasowe

Ziaja Szałwiowa to jeden z wiodących na polskim rynku naturalnych produktów do pielęgnacji jamy ustnej, jest nie tylko skuteczny, lecz również niedrogi.

Recenzja. „Zemsta Fahrenheita" to już kolejna po „Zdradzie Kopernika" książka Artura Górskiego.

Na peryferiach Conan Doyle'a

Andrzej Stanisławski

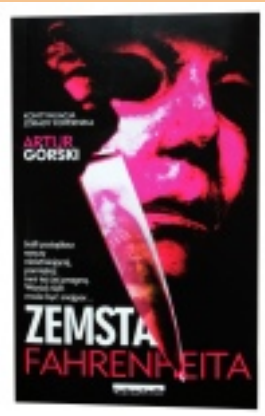

Pewnie bym nigdy nie sięgnął po tę książkę, bo powieści sensacyjne i kryminalne nie są moim ulubionym gatunkiem literackim. Zainteresowała mnie jednak notka na obwolucie: „W Gdańsku pod pomnikiem Neptuna dochodzi do strzelaniny, w której ginie holenderski biznesmen".

Zabrzmiało to ciekawie. Wysupłałem więc 34.90 złotych (dużo, jak na cienką książeczkę w miękkiej obwolucie) i zaraz na początku dowiedziałem się, że był to już drugi trup; pierwszy poległ również w Gdańsku, na mojej ukochanej ulicy Mariackiej, przy schodach Bazyliki. I to byłoby tyle, jeśli idzie o moje zainteresowanie dziełem pt. „Zemsta Fahrenheita"... Powieści brak tempa, koniecznego w tego typu literaturze, autor, poza paroma wyjątkami, niczym specjalnym nie potrafi zaskoczyć czytelnika. Nawet finałowa scena wypadła sztucznie. Ale w końcu dałoby się to przeczytać w pociągu, skracając sobie w ten sposób podróż z Trójmiasta do Warszawy (no, może przy obecnym tempie ekspresów starczyłoby lektury do Działdowa), gdyby nie nadmierne ambicje autora. Górski postanowił stworzyć bohatera na miarę Sherlocka Holmesa, czy Jamesa Bonda, występujących w całym cyklu powieści. Takim bohaterem, który nigdy nie może zginąć, wychodząc cało z najtrudniejszych sytuacji jest Łukasz Dybowski, właściciel wydawnictwa i kick-boxer w jednej osobie, mający za swego przeciwnika demonicznego Włocha Stefano Parezzo, również oczywiście „wiecznego". Stąd w „Zemście Fahrenheita" częste odwoływanie się do sytuacji z poprzedniej powieści Górskiego „Zdrada Kopernika". Miałoby to swój sens, gdyby Górski był pisarzem na miarę Conan Doyle'a, Agaty Christie, czy też Johna Grishama. Ale nim nie jest i długo jeszcze takim nie będzie. Nie powinien wymagać od czytelnika, aby ten z wypiekami na twarzy rzucał się na każde jego nowe dzieło. Takie wtręty, jak choćby walka Dybowskiego z płatnym mordercą na wieży Bazyliki Mariackiej, komuś, kto nie czytał „Zemsty Kopernika" nic nie mówią, osłabiając jedynie tempo akcji i wprowadzając do powieści chaos. Na końcu książki zamieszczony został pierwszy rozdział kolejnej powieści Górskiego „Ostatnia wola Heweliusza". Głównym bohaterem ponownie jest tu Łukasz Dybowski, a jego przeciwnikiem Stefano Parezzo. Niby nic złego, byłoby jednak lepiej, gdyby każda z książek stanowiła integralną, zamkniętą w sobie całość. A jedynym wspólnym mianownikiem było nawiązywanie do wielkich postaci, jakie się przewinęły przez renesansowy Gdańsk. Co odnotowuję z niekłamaną sympatią.

Artur Górski, „Zemsta Fahrenheita", Wydawnictwo Zwierciadło, Warszawa 2011, s. 176, cena 34.90 zł.

Bezzałogowe maszyny latające z sopockiego Microsystemu

Od Ikara do i-FLY

Człowiek od zarania dziejów pragnął wznieść się w przestworza. W antycznej Grecji powstał nawet mit o Ikarze, który wraz z ojcem próbował uciec z Krety drogą powietrzną. W starożytnych Chinach opowiadano sobie legendy o lataniu na gigantycznych latawcach. Tak naprawdę jednak era lotnictwa rozpoczęła się dopiero w 1783 roku, kiedy to bracia Montgolfier oderwali się od ziemi przy pomocy balonu wypełnionego gorącym powietrzem. Później ludzie wymyślili samoloty, rakiety, wahadłowce i... bezzałogowe pojazdy latające. Jedną z firm, oferujących takie ultranowoczesne rozwiązania, jest mieszczące się w Sopocie Biuro Projektów i Zastosowań Systemów Informatycznych - Microsystem.

fot. materiały promocyjne Microsystem

Pierwsze bezzałogowe urządzenia latające zostały skonstruowane na użytek wojska. Zastosowano je w okresie I wojny światowej. Służyły do obserwowania pozycji wroga i jako cel podczas ćwiczeń przeciwlotniczych. Obecnie wykorzystywane są również jako obiekty cywilne.

Budową takich maszyn zajmuje się ponad 200 ośrodków badawczych na całym świecie. Szacuje się, że istnieje już ponad 550 rodzajów tych wysoko wyspecjalizowanych bezpilotowych statków powietrznych. Najmniejsze mają rozmiar chrabąszcza. Rozpiętość skrzydeł największego (Global Hawk) dochodzi do 40 metrów. 70 procent to maszyny wojskowe, 10 proc. cywilne, resztę stanowią pojazdy badawcze.

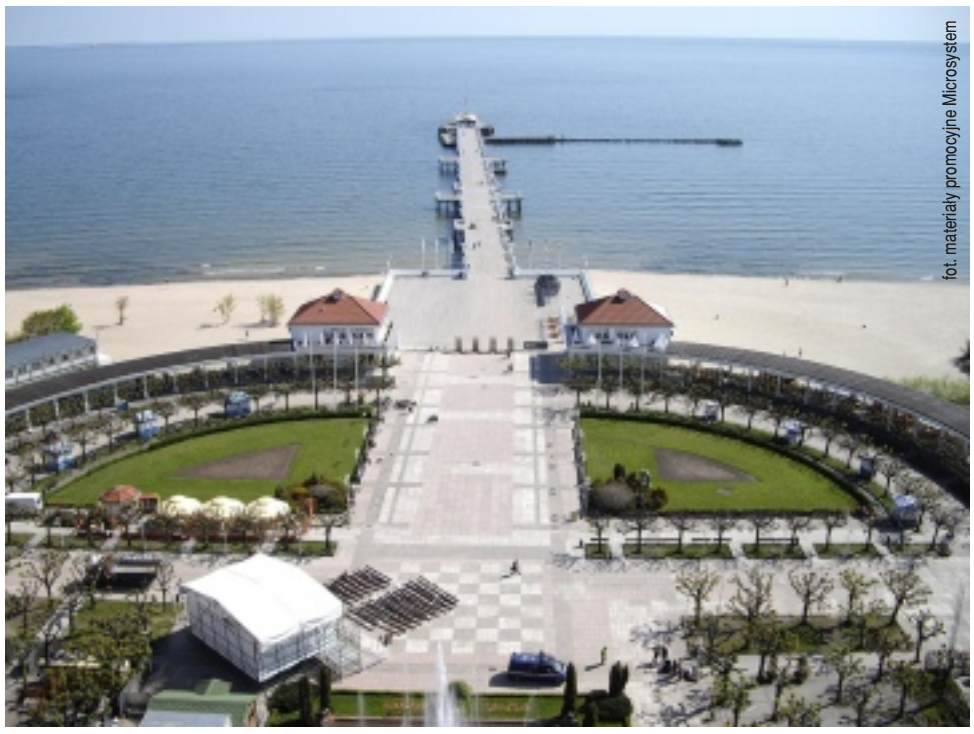
fot. materiały promocyjne Microsystem

Sopockie bezzałogowce

Maszyny cywilne, nazywane UAV (Unmanned Aerial Vehicle, czyli Bezzałogowy Aparat Latający) są wyposażone jedynie w sprzęt optyczny, akustyczny i radiowy. Tak jak ich bojowe odpowiedniki, UAV kierowane są przez operatora z naziemnego stanowiska. Poszczególne ich typy różnią się zarówno wielkością, sposobem wytwarzania siły nośnej, rodzajem startu, jaki i zastosowaniem. Najczęściej posyłane są tam, gdzie użycie dużo większych śmigłowców załogowych jest niemożliwe, niebezpieczne lub zbyt kosztowne.

- Pojazdy te znajdują zastosowanie m.in. przy monitoringu terenu, wsparciu działań policji, straży granicznej i pożarnej, kontroli obiektów przemysłowych, wykonywaniu zdjęć prasowych i reportaży telewizyjnych, oraz artystycznych fotografii z powietrza, przydatne są także w pracy geodetów i fotogrametrów – wyjaśnia Georgis Bogdanis, dyrektor sopockiego Microsystemu, jednej z pierwszych polskich spółek, zajmujących się wdrażaniem tego rodzaju rozwiązań - firma zajmuje się ponad to projektowaniem i wykonawstwem elektronicznych systemów zabezpieczeń.

Przygodę z projektem i-Fly Microsystem rozpoczął w roku 2005. Polega on na świadczeniu usług komercyjnych związanych z fotografią, filmowaniem i pomiarami z powietrza przy użyciu bezzałogowych mikrośmigłowców.

Od roku 2008 sopocka firma jest również oficjalnym dystrybutorem quadrocoptera MD4-200, produkowanego przez niemiecką spółkę Microdrones GmbH.

Prawie jak satelita

- Quadrocopter MD4-200 jest jedną z naszych najbardziej zaawansowanych maszyn latających. Urządzenie to posiada cztery jednakowe śmigła, które umożliwiają mu pionowy start i lądowanie. Konstrukcja kadłuba, wirniki, płozy oraz system montażu urządzeń wizyjnych wykonane zostały z włókna węglowego. To gwarantuje im dużą wytrzymałość oraz niska masę, a to właśnie masa MDR4-200, która razem z urządzeniem wizyjnym dochodzi do ok. 900 g, ma bezpośredni wpływ na długość lotu – mówi dyrektor Bogdanis.

W oferowanym przez Microsystem zestawie znajdują się 4 litowo-polimerowe akumulatory o pojemności 2300 mAh każdy. Pozwalają one na wykonanie około godzinnego lotu z urządzeniem, nieprzekraczającym wagi 200 gram. Stacja bazowa współpracuje z komputerem klasy PC, przy pomocy którego operator może kontrolować parametry lotu.

- Oprogramowanie naszego quadrokoptera przypomina klasyczne przyrządy lotnicze, ale oprócz standardowych parametrów, takich jak wysokość, prędkość etc, na bieżąco określa stan zużycia baterii, pozycję GPS oraz pracę każdego silnika – podkreśla dyrektor Microsystemu. – Dodatkowy program pozwala na lot po zadanej trasie, którą planuje się w oparciu o biblioteki Google Earth. Z kolei zastosowanie systemu AAHRS (Altitude, Attitude and Reading Reference System) znacznie ułatwia pracę operatora. MD4-200 posiada również opcję automatycznego zawisu, która szczególne przydaje się, gdy operator musi samodzielnie wykonać zdjęcie.

Przyszłość należy do UAV

Minihelikoptery nie wymagają specjalnej konserwacji. Czynności kontrolne sprowadzają się praktycznie do ładowania akumulatorów, wyjęcia elementów z walizki transportowej oraz montażu wirników i wybranego urządzenia wizyjnego.

- Rozmiar tej walizki i jej waga pozwala na transport naszego UAV w zwykłym samochodzie osobowym – demonstruje dyrektor Georgis. - Także kwestia zasilania zestawu jest bardzo prosta. Wystarczy standardowe gniazdko 230 V lub samochodowe złącze 12 V.

Zdaniem dyrektora Microsystemu, MD4-200 zrewolucjonizuje monitorowanie zakorkowanych trójmiejskich ulic. Bardzo przydatny może okazać się także do nadzoru masowych imprez muzycznych czy sportowych, takich jak choćby zbliżające się mistrzostwa Euro 2012.

Podobne rozwiązania sprawdziły się już w wielu zachodnich metropoliach, może więc i nasze władze lokalne zainteresują się wreszcie tym o wiele tańszym niż konwencjonalny rodzajem monitoringu.

(kf)

Więcej informacji:
www.microsystem.com.pl

fot. materiały promocyjne Microsystem

Kartki z podróży po Białorusi obiektywem malowane

Pomiędzy czernią a bielą

Dla jednych Białoruś jest częścią historycznej Rzeczypospolitej. Dla innych utraconym rajem dzieciństwa, jeśli nie własnym, to rodziców lub dziadków. Są jednak i tacy, którym przestrzeń pomiędzy Bugiem, a Dnieprem kojarzy się wyłącznie z Aleksandrem Łukaszenką i jego „feudalno-komunistycznym skansenem koncentracyjnym", do którego lepiej w ogóle nie jechać, bo i po co... Jak to faktycznie jest z tą Białorusią próbowali dowiedzieć się pomorscy fotograficy i reporterzy, którzy wiosną tego roku odwiedzili ten najmniej chyba popularny turystycznie kraj Europy.

Dom Elizy Orzeszkowej w Grodnie. fot.Wojciech Żaglewski

fot. Elżbieta Błaszkiewicz

Gmach nowej biblioteki w Mińsku.

Krzysztof M. Załuski

Demokracja nie istniała tu w zasadzie nigdy. Podobnie było z własną państwowością. Ziemie obecnej Republiki Białoruś przez większą część historii stanowiły integralną część Wielkiego Księstwa Litewskiego, Rzeczpospolitej Obojga Narodów lub carskiej Rosji. Całe wieki mocarstwa te skutecznie tłumiły narodowe i kulturalne aspiracje Białorusinów. Mieszkańców dziesiątkowały wojny, powstania, rewolucje, choroby i głód. Poprzez białoruskie równiny, puszcze i bagna regularnie przewalały się obce wojska: litewskie, polskie, szwedzkie, rosyjskie, francuskie i niemieckie. Palone były miasta, klasztory, pałace, dwory i wsie, niweczony dorobek intelektualny miejscowej ludności. Szczególnym okrucieństwem popisali się tutaj Niemcy, którzy w czasie ostatniej wojny wymordowali czwartą część populacji Białorusi. Kolejne 380 tysięcy wywieźli na roboty w głąb Rzeszy. Całkowicie zgładzona została ludność żydowska, która w niektórych miastach sięgała przed wojną nawet 70 proc. populacji. Białorusi nie ominęły także stalinowskie czystki, które uderzyły szczególnie mocno w narodową kulturę i język.

Ostatnią wielką tragedię przyniósł rok 1986. 26 kwietnia o godzinie 01:24, w położonym tuż za granicą ukraińską Czarnobylu, doszło do najpoważniejszej w historii awarii elektrowni atomowej. W jej wyniku jodem, strontem, plutonem i cezem skażonych zostało 21 proc. terytorium Białorusi. Pół miliona mieszkańców zapadło na schorzenia popromienne. Ile osób zmarło bezpośrednio po eksplozji reaktora, a ile rozchorowało się później, dokładnie nie wiadomo. Nieznana jest także liczba upośledzonych noworodków i dzieci.

fot. Jacek Kołakowski

Muzeum Czesława Niemena - Stare Wasiliszki, do Księgi Pamiątkowej wpisuje się brat stryjeczny Niemena - Romuald Wydrzycki.

Wszelkie odcienie szarości

Państwo białoruskie w obecnym kształcie istnieje od 25 sierpnia 1991 roku. Paradoksalnie do jego powstania przyczynił się nieudany pucz przeciwko prezydentowi ZSRR Michaiłowi Gorbaczowowi. Korzystając z chaosu, władze Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej ogłosiły niepodległość. W tym samym roku zmieniono nazwę państwa na Republika Białoruś, a w trzy lata później przyjęto nową konstytucję.

Od 10 lipca 1994 roku krajem nieprzerwanie rządzi prezydent Aleksander Łukaszenka – dla jednych „ojciec narodu", który milionom bezrobotnych pracowników kołchozów i fabryk zapewnił godziwe życie, dla innych bezwzględny dyktator, łamiący podstawowe prawa obywatelskie.

- Nas interesowały plenery, a nie polityka – mówi Jacek Kołakowski, prezes Pomorskiego Towarzystwa Fotograficznego, a zarazem współorganizator wyjazdu pomorskich fotografików na Białoruś. – Osobiście nie wierzyłem ani w białoruski „kołchoz koncentracyjny", ani w „raj na ziemi". Nic przecież, poza starą fotografią, nie jest czarno-białe. Zresztą nawet ona ma różne odcienie szarości. Myślę, że wszystkiego, co najgorsze o Białorusi można dowiedzieć się z polskiej prasy, tego co dobre i piękne trzeba doświadczyć osobiście. Stąd pomysł na ten plener fotograficzny.

Pałace, cerkwie i... viagra

Jedno z białoruskich przysłów mówi, że aby poznać obcy kraj trzeba odwiedzić dworzec kolejowy, teatr i pojechać na wieś. Ideałem byłoby oczywiście zamieszkanie wśród Białorusinów przez kilka miesięcy, nauczenie się ich języka i obyczajów. To dopiero gwarantowałoby świeże, nieskażone stereotypami spojrzenie. Na to jednak nie było czasu.

- Nasz pobyt na Białorusi trwał pięć dni. Przejechaliśmy autokarem ponad dwa tysiące kilometrów. W tym czasie zobaczyliśmy nie tylko największe miasta, takie jak Grodno, Nowogródek, Mińsk, Mohylew czy Bobrujsk, lecz także rodzinną wieś i muzeum Czesława Niemena w Starych Wasiliszkach, fantastycznie wprost odrestaurowany zamek Radziwiłłów w Nieświeżu, repliki dworków szlacheckich Adama Mickiewicza w Nowogródku i Elizy Orzeszkowej w Grodnie. Zwiedzaliśmy też kościoły, cerkwie, supernowoczesną wiejską szkołę wyposażoną w dwa baseny, w pełni zautomatyzowany kombinat mleczarski, monumentalne, socrealistyczne w stylu siedziby okręgowych władz oraz zakłady farmaceutyczne produkujące białoruski odpowiednik viagry, co już trochę wykraczało poza nasze, nawet najśmielsze oczekiwania – śmieje się Kołakowski.

Wspólne korzenie

Pomorskim fotografikom chodziło głównie o odkrywanie polsko-białoruskich korzeni. I tych dobrych i tych nieco bardziej wstydliwych. Bo nie ma co ukrywać, wspólna historia nie zawsze układała się równie pomyślnie dla obydwu naszych nacji.

Wielokrotnie silniejsza, zarówno ekonomicznie, militarnie jak i kulturowo Rzeczpospolita, a po jej upadku również Rosja, wysysały przez wieki białoruską inteligencję. Stąd wywodzą się m.in. Tadeusz Kościuszko, Adam Mickiewicz, Czesław Niemen, Ignacy Domeyko-Żegota, książęta Radziwiłłowie i Sapiehowie, a także światowej sławy malarz Marc Chagall.

Tu, w nieistniejących już Szczytnikach w pobliżu wsi Wasiliszki kolo Grodna, w roku 1939 urodził się także jeden z uczestników pleneru, Romuald Juliusz Wydrzycki, stryjeczny brat Czesława Niemena.

- Mieszkaliśmy z Cześkiem w tym samym domu – mówi Romuald Wydrzycki. – Ja z rodzicami wyjechałem do Polski zaraz po wojnie, stryj Antoni czekał na cud, wierzył, że Polska do nich wróci. Nie wróciła. Na repatriację zdecydował się dopiero w 1958 r.

Przez lata komunizmu pamięć o Czesławie Niemenie przechowywali tylko najstarsi mieszkańcy Wasiliszek, przeważnie Polacy. W drewnianej, krytej eternitem chacie Wydrzyckich nie powstała żądna ekspozycja, najmniejsza choćby wystawa. Dopiero w zeszłym roku otwarte zostało mini-muzeum.

Przekraczając próg rodzinnego domu, Romuald Wydrzycki nie ukrywał wzruszenia. Oglądał wiszące na ścianach rodzinne zdjęcia, święte obrazy, akordeon, gramofon i płyty Niemena. Zadawał pytania gospodarzowi obiektu.

- Cieszę się, że Czesław doczekał się wreszcie tego muzeum. W końcu stąd pochodził i tu powinien pozostać po nim jakiś ślad – mówi Wydrzycki. – Cieszy mnie także otwartość tutejszych ludzi i sympatia do Polaków, bo w końcu nie zawsze byliśmy najlepszymi sąsiadami.

Najpiękniejsze panienki w Europie

Białorusini nie maskują śladów polskości, wręcz przeciwnie, uwydatniają je na każdym kroku, w kościołach, w muzeach, na pamiątkowych ulicznych tablicach. I to nie tylko w Grodnie, gdzie nadal 25 procent mieszkańców stanowią Polacy. Polska przeszłość tych ziem widoczna jest również w Nowogródku, Nieświeżu, a nawet w Mińsku.

- Przyznam, że było to dla mnie ogromnym zaskoczeniem, bo polskich śladów jest tutaj o wiele więcej niż na przykład w Gdańsku niemieckich – podkreśla Jacek Kołakowski.

Zauroczenia Białorusią nie kryją także inni uczestnicy pleneru.

- Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, uderza mnie czystość i stan ulic. Polskie dogi przy białoruskich, to istne safari – zwierza się jeden z kierowców autokaru. – Niegdzie nie zobaczysz tu plastikowych toreb, puszek, czy butelek. Na murach nie ma graffiti, ani reklam, nie ma bezdomnych psów, nie wspominając o żebrakach. No i uroda tutejszych dziewczyn… Tak ładnych i zgrabnych panienek nie widziałem chyba nigdzie, a jeżdżę dosyć dużo po Europie.

Członkowie Pomorskiego Towarzystwa Fotograficznego nie wykluczają dalszej współpracy z Białorusią. Chcieliby wydać album dokumentujący marcowy plener. Marzą im się także podobne wyjazdy do Rosji i innych republik postradzieckich. W najbliższym czasie planują szereg wystaw w Trójmieście i najbliższej okolicy.

Pałac Radziwiłłów w Nieświeżu. fot.Elżbieta Błaszkiewicz

bezpłatna gazeta pomorska riviera

Wydawca:
PPHU Riviera Sopot
81-838 Sopot, Al. Niepodległości 753

Redaktor naczelny:
Krzysztof M. Załuski, tel. 796-54-94-50

Adres redakcji:
81-838 Sopot, Al. Niepodległości 753
e-mail: riviera-77@o2.pl

Reklama:
e-mail: k63@gazeta.pl

Adres do korespondencji:
Riviera Literacka
80-833 Gdańsk, ul. Mariacka 50/52

Druk:
Polskapresse sp. z o.o.
80-720 Gdańsk, ul. Połęże 3

Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca, zastrzega sobie także prawo do ich redagowania. Za treść reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Wypędzeni do raju (10)

Barbarzyńcy nadchodzą

Krzysztof Maria Załuski

Dopiero niedawno uświadomiłem sobie, że kiedy w 1989 roku jechałem do Friedlandu jako mimowolny kandydat na „wypędzonego", świat był jeszcze całkiem dwubiegunowy; albo inaczej: był zupełnie czarno-biały. Ów dymorfizm, podobnie jak w przypadku minusa i plusa, samca i samicy, nocy i dnia, tudzież głodu i sytości, był wówczas wyjątkowo wyraźny i oczywisty. Istota podziału na to, co dobre i na to, co złe nie była od dawna ani tak konsekwentna, ani tak logiczna, jak w roku 1989. Być może nawet tak jednoznacznej polaryzacji świat nie doświadczył od czasów bezpośrednio poprzedzających upadek Cesarstwa Rzymskiego – wówczas też istnieli obywatele Rzymu (szlachetni, niezłomni, niezwyciężeni) i reszta świata (nikczemna, nieokrzesana, dzika). Ci pierwsi nie mylili się nigdy i działali zawsze zgodnie z prawem. A nawet jeśli je czasem łamali, to wyłącznie pro publico bono (patrz: Wojna Galijska Juliusza Cezara). Ci drudzy, dla odmiany, byli głupi, brudni i pozbawieni jakiejkolwiek kultury – i pewnie dlatego można ich było podbijać, mordować, kaleczyć, sprzedawać jako niewolników. Z tego samego powodu ci pierwsi mieli prawo uczyć tych drugich, jak żyć, i mówić im, co dla nich dobre, a co złe. Ci drudzy praw mieli niewiele, za to same profity, wynikające z przywileju korzystania z rzymskich zdobyczy cywilizacyjnych.

Po upadku Rzymu świat mocno się pokomplikował i bardzo długo nie było wiadomo kto jest „cacy", a kto „be". Sytuacja stała się jasna dopiero, kiedy w Rosji pojawili się bolszewicy, a w Niemczech pan Hitler. Niestety, po zerwaniu „żelaznej kurtyny" znowu wszystko się pokręciło – znowu całemu syfowi winni byli Żydzi i cykliści, prawicowa i lewicowa ekstrema, a ostatnio także islamscy terroryści.

Ale to było później – wtedy, w roku 1989, wszystko było jeszcze proste i czyste, jak niebo w Wigilię Bożego Narodzenia roku 406 ery, nazwanej przez chrześcijan, „naszą". Tego dnia barbari – pozbawieni cech osobniczych, wygłodniali, niewarci nawet rzymskiej pogardy troglodyci, przekraczając pod Koblencją całkowicie zamarznięty tamtej zimy Ren – wdarli się na teren Świętego Imperium; tym samym nocy owej rozpoczął się początek Wielkiego Końca.

Ren spełniał podówczas w Europie rolę odwrotną do tej, jaką do niedawna odgrywał mur berliński – ta najszersza rzeka naszego kontynentu stanowiła wtedy linię demarkacyjną pomiędzy światem prawa, piękna i dostatku a światem gwałtu, grozy i głodu, czyli czymś, co obywatele rzymscy lekceważąco nazywali terra incognita. Ren, fortyfikacje limesu i coraz bardziej zdemoralizowane, składające się głównie z germańskich i celtyckich najemników, rzymskie oddziały przez pięćset lat skutecznie wyhamowywały migracyjne zachciewajki wschodnioeuropejskich barbarzyńców. Z kolei berliński mur – koronne dzieło wschodniogermańskich architektów – miał po wieczne czasy uniemożliwiać rejteradę z pierwszego niemieckiego państwa robotników i chłopów. W roku 1989 nikt, będąc przy zdrowych zmysłach, nie uwierzyłby w rozpad Ost-Bloku. Zapowiedź końca Związku Radzieckiego była wówczas jeszcze większą abstrakcją, niż prognozowanie w roku 406 upadku, istniejącego od jedenastu stuleci mocarstwa Romusa i Romulusa.

Siedemdziesiąt lat później Rzym jednak runął. Wkrótce doszło także do migracyjnej implozji. Świat antyczny zapadł się niczym nowojorskie drapacze chmur World Trade Center. Na rumowisku kamieni, które po nim pozostało, ulokowali się Frankowie, Gepidzi, Ostrogoci, Wizygoci, Burgundowie, Wandalowie, Swewowie, Alanowie, Słowianie oraz najdziksi z nich wszystkich Hunowie, którzy zresztą sprowokowali całe to zamieszanie.

Samolikwidacja Kraju Rad i odpadanie poszczególnych jego kolonii przebiegała w jeszcze bardziej spektakularnym tempie. W trakcie demontażu leninowskiego imperium doszło do eksplozji demograficznej, zwanej „Jesienią Ludów" – za Łabę przeniosły się wówczas miliony Wschodnich Niemców, Rosjan, Polaków, Węgrów, Żydów, Cyganów, Rumunów, Bułgarów, Albańczyków i cholera wie jakiego jeszcze tałatajstwa.

Według Edwarda Gibbona, osiemnastowiecznego brytyjskiego historyka: „zmierzch Rzymu był naturalnym i nieuniknionym skutkiem nieumiarkowanej wielkości". Czyżby więc zmierzch Rosji był w takim samym stopniu naturalnym skutkiem nieumiarkowanego ekspansjonizmu? Tylko czy Rosja – wszystko jedno jaka, czerwona czy biała – była rzeczywiście III Rzymem, czy może raczej kolejnym wcieleniem imperium Attyli? Kiedy przypominam sobie koczujących pod bramami friedlandzkiego obozu skośnookich kandydatów na Niemców, odpowiedź wydaje mi się oczywista.

Tak, półtora tysiąca lat temu każdy Germanin chciał być Rzymianinem, teraz wszyscy chcą być „Jewropejcami". Tylko w takim razie – skoro to cywilizacja euroatlantycka uzurpuje sobie miano sukcesora Rzymu, a Nowy Jork chce być stolicą świata – istnieje bardzo poważne prawdopodobieństwo, że cała przyjemność, wszystko jedno: wiosna, lato, zima czy jesień ludów, jeszcze przed nami… I być może zwiastunem nowego exodusu są właśnie te, nieprawdopodobne wręcz, ataki na WTC i Pentagon?

Może…

Ale w roku 1989 granica była jeszcze prosta i wyraźna: jeden świat kończył się na drutach, drugi się na nich zaczynał; a po obu stronach „kurtyny" chodzili żołnierze, mówiący w tym samym, germańskim językiem. Przy czym mocodawcom jednych i drugich chodziło w zasadzie o to samo: żeby znieść linię nowożytnego limesu – ci ze Wschodu chcieli mieć jeansy, marlboro, czerwonego golfa i banany; ci z Zachodu tanią siłę roboczą i nowe rynki zbytu. Pieprzenie o wolności, pokoju i demokracji to jedynie farmazony dla plebsu.

fot. archiwum

Granica niemiecko-niemiecka przez lata stanowiła współczesny limes.

W miejscowości Fridland znajduje się obóz przejściowy dla przesiedleńców; nad miastem góruje pomnik ku czci wypędzonych i ofiar II wojny światowej.

fot. archiwum

Sposób przekraczania granicy w kierunku zachodnim zależał wyłącznie od inwencji barbarusa – jedną z metod, powszechnie stosowanych pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku, było posługiwanie się jako przepustką dokumentami „niemieckich przodków" – już po przedostaniu się na Zachód wystarczyło podpisać deklarację o chęci przynależności do przeżywającego wyraźną stagnację demograficzną narodu niemieckiego. Miejscowość Friedland była właśnie punktem, w którym dokonywała się cudowna metamorfoza. Tu, za sprawą najdziwniejszych w świecie przepisów imigracyjnych, ze Ślązaka, Kaszuba, Kazacha, Węgra, Ukraińca czy Rosjanina robiono czyściutkiego, często nawet stutrzydziestoprocentowego Niemca.

Jeden z moich gdańskich znajomych, niejaki Płaszczak, po dziś dzień nie wie, kto w jego żyły napuścił niemieckiej krwi. Kiedy w roku 1981, jadąc z rodziną do Kanady, zatrzymał się na moment we Frankfurcie nad Menem, niemieccy urzędnicy imigracyjni zaproponowali mu nadanie obywatelstwa. Po przekonsultowaniu sprawy z żoną, przystał na poczynioną propozycję, zastrzegł jedynie, że z tego, co wie, Niemców u niego w rodzinie nie było. Faceci poklepali go za szczerość po plecach i powiedzieli, żeby się nie martwił, bo oni mu już jakiegoś niemieckiego przodka odnajdą. Jak powiedzieli, tak zrobili – co najzabawniejsze, dobre germańskie korzenie znaleźli także i jego żonie, mimo że jej rodzina pochodziła gdzieś z Polesia.

Cóż, korzenie mają to do siebie, że umiejętnie wkopane w glebę, a następnie troskliwie pielęgnowane, plenią się niczym wężowe włosy Meduzy… I rzeczywiście, kiedy jesienią 1999 roku spotkałem w Esslingen państwa Płaszczaków, mieliśmy poważne problemy ze znalezieniem wspólnego języka – ich dzieci, mimo że urodzone w Gdańsku, nie znały już właściwie polskiego, oni także jakby go zapomnieli.

Książka do nabycia w wybranych księgarniach i na portalu www.merlin.pl

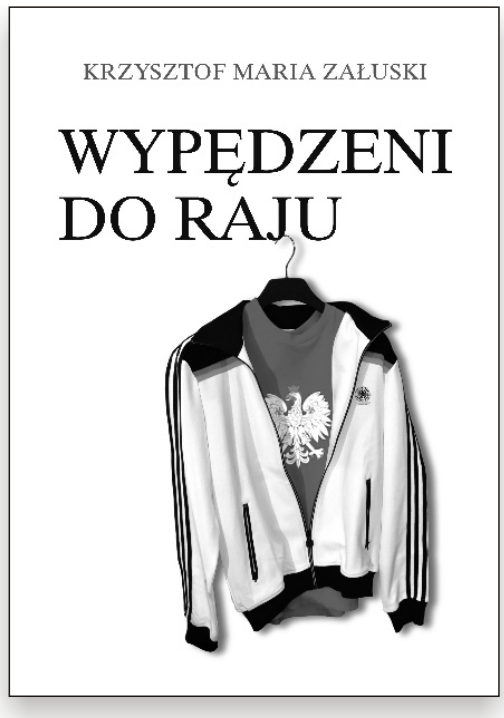

„Wypędzeni do raju"

Pełna mądrego humoru i refleksji, fascynująca lektura będąca bezlitosnym opisem współczesnej polskiej emigracji. Załuski lekkim piórem zadaje celnie ciężkie ciosy mentalności wszystkich "wypędzonych do raju"...

Krzysztof Skiba

WSTiH - Gdańska uczelnia najlepszą szkołą wyższą w Polsce kształcącą kadry dla turystyki

Profesjonalizm, kompleksowość, innowacyjność

Dzisiejsza młodzież to pokolenie ludzi ambitnych, świadomych faktu, iż młodość to najlepszy czas na inwestowanie w swoją przyszłość i poszukiwanie kierunków własnego rozwoju. Stąd też maturzyści, zanim podejmą ostateczną decyzję o wyborze uczelni, bardzo skrupulatnie przeglądają ich oferty, patrzą, czy programy edukacyjne są systematycznie dostosowywane do wymagań rynku pracy, czy jest kładziony odpowiedni nacisk na kształcenie praktyczne, naukę języków obcych oraz czy system praktyk i stypendiów jest wystarczająco rozbudowany.

fot. materiały WSTiH

Na szczęście na rynku edukacyjnym są uczelnie, które nadążają za wymaganiami rynku edukacyjnego i rynku pracy. Jedną z takich uczelni, która od lat odnosi sukcesy jest, obchodząca właśnie 15 – lecie Wyższa Szkoła Turystyki i Hotelarstwa w Gdańsku. Uczelnia ta już drugi raz z rzędu (w 2011 i w 2010) została uznana przez branżowe czasopismo „Wiadomości Turystyczne" za najlepszą szkołę wyższą kształcącą kadry dla turystki w Polsce.

fot. materiały WSTiH

W rankingu wzięło udział aż 66 uczelni z całego kraju. WSTiH została wyróżniona spośród innych uczelni m.in. za rozbudowaną ofertę specjalizacji, naukę języków na wysokim poziomie (w tym możliwość poświadczenia znajomości języków międzynarodowymi certyfikatami; WSTiH jest akredytowanym ośrodkiem egzaminacyjnym z prawem przeprowadzania egzaminów: m.in. TOEIC i TFL), praktyczną naukę zawodu (liczne szkolenia, warsztaty, wyjazdy na targi, pokazy, praktyki itd.) oraz wykwalifikowaną kadrę naukową (w tym wielu wykładowców praktyków: dyrektorów hoteli, restauracji, uzdrowisk itp.). „Wiadomości Turystyczne" doceniły gdańską uczelnię również za bogatą ofertę praktyk krajowych i zagranicznych. W ofercie praktyk zagranicznych WSTiH oprócz krajów europejskich znalazła się nawet Kanada, a konkretnie 4 gwiazdkowe hotele położone w samym mieście Niagara.

Studenci i ich sukcesy

O wysokim poziomie nauczania WSTiH świadczą również osiągnięcia gdańskiej uczelni na arenie międzynarodowej. W roku 2009 reprezentacja WSTiH zdobyła II miejsce w finale europejskiego konkursu hotelarskiego Eurhodip, a w 2010 r. student WSTiH (laureat konkursu gastronomicznego „Zgotuj sobie sukces 2009") znalazł się w drużynie, która wywalczyła brązowy medal Kulinarnego Pucharu Świata 2010 w Luksemburgu.

Oferta edukacyjna

WSTiH dysponuje szeroką ofertą edukacyjną i nieustannie dostosowuje swój program do zmieniających się warunków na rynku pracy.

Uczelnia oferuje 3-letnie studia I stopnia (licencjackie), 2-letnie studia II stopnia (magisterskie) oraz studia podyplomowe (roczne) i kursy specjalistyczne.

Uczelnia w ostatnim roku w istotny sposób rozbudowała również ofertę kursów specjalistycznych. Obecnie ma w ofercie aż 22 kursów, od pilota wycieczek poczynając, poprzez kursy masażu, na kurach żeglarstwa kończąc.

Baza dydaktyczna

Uczelnia poszczycić się może również bardzo dobrze rozwiniętą bazę dydaktyczną. WSTiH oprócz auli i audytoriów wyposażonych w najnowszej generacji sprzęt nagłaśniający i audiowizualny dysponuje także pracowniami specjalistycznymi. Są to m.in. pracownia hotelarstwa i gastronomii, pracownia technologii żywienia człowieka, pracownia SPA & Wellness.

Od października 2011 roku Uczelnia rozpocznie również działalność w swoim nowym Zamiejscowym Ośrodku Dydaktycznym w Szczecinku. Na razie będą prowadzone tam studia I stopnia w systemie niestacjonarnym.

(jp)

Więcej informacji na:
www.wstih.pl

Rodzaj studiów	Zakres studiów		System kształcenia
Studia I stopnia	**kierunek: Turystyka i rekreacja** specjalności: - Zarządzanie w hotelarstwie i gastronomii - Zarządzanie przedsiębiorstwem turystycznym - Zarządzanie małą firmą - Gastronomia i dietetyka	- Turystyka międzynarodowa - Turystyka uzdrowiskowa, SPA&Wellness - Odnowa biologiczna – kosmetologia - NOWOŚĆ	- stacjonarne - niestacjonarne
Studia II stopnia	**kierunek: Turystyka i rekreacja** - Ekonomika turystyki - Zarządzanie przedsiębiorstwem turystycznym	- Turystyka zdrowotna	- stacjonarne - niestacjonarne
Studia podyplomowe	- Zarządzanie w turystyce i hotelarstwie - Nowoczesny menedżer w turystyce - Menedżer SPA&Wellness - Kreacja własnego biznesu turystycznego	- Coaching biznesowy w turystyce - Dietetyka - Zarządzanie zasobami ludzkimi w gospodarce turystycznej	- niestacjonarne

REKLAMA

WSPIERAMY POLSKIE PRODUKTY
Zapisz się do nas!
www.polskieprodukty.pl